

**KAROL MAY**

# **WINNETOU W AFRYCE**

**SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZEJ „ORIENT” R.D.Z. W WARSZAWIE, WARSZAWA  
1926**



## MILIONER

Zanim rozpocznę dalszą opowieść, sięgnę w przeszłość do wcześniejszego zdarzenia. Przed kilkoma laty, wracając z podróży po Południowej Ameryce, wylądowałem w Bremerhaven i zatrzymałem się w hotelu.

Przy obiedzie siedziałem vis a vis młodego, bo zapewne dwudziestosześcioletniego mężczyzny, który nie brał udziału w ogólnej rozmowie i na mnie skupił całą swoją uwagę. Badawcze spojrzenie błąkało się po mojej twarzy. Widać było, że usiłuje coś sobie przypomnieć. Ja również miałem wrażenie, że znam go, ale musiała to być znajomość bardzo przelotna, skoro nie mogłem go umiejscowić w czasie. Wreszcie, przy deserze, oczy mego sąsiada rozjaśniły się, twarz przybrała zadowoloną minę człowieka, który rozwiązał zagadkę. To jednak nie zmniejszyło jego zainteresowania moją osobą, wręcz przeciwnie, nie spuszczał ze mnie oka.

Kiedy zjadłem obiad, przesiadłem się do stolika koło okna i poprosiłem o kawę. Nieznajomy przechadzał się po sali. Wiedziałem, że pragnie mnie zagadnąć i medytuje, jak się do tego zabrać. Wreszcie odwrócił się, przybliżył i z ukłonem, raczej szczerym niż zgrabnym, rzekł:

— Przepraszam pana. Czy nie spotkaliśmy się już kiedyś?

— Być może — odrzekłem, podnosząc się, aby odpowiedzieć na ukłon. — Może pan przypomni, gdzie i kiedy.

— W Stanach jednoczonych, zdaje się, że w Nevadzie, w drodze z Hamiltonu do Belmontu. Czy zna pan te miasta?

— Owszem. Kiedy to było?

— Przed czterema laty. Było nas wielu poszukiwaczy złota. Uciekając przed Nawajami, zbłądziliśmy do tego stopnia, że nie mogliśmy się wydostać z gór i najprawdopodobniej zginęlibyśmy, gdyby nie spotkanie przypadkowe, a tak dla nas zbawienne, Apacza Winnetou.

— Ach, Winnetou...

— A zatem zna pan słynnego wodza Apaczów?

— Trochę.

— Tylko trochę? Jeśli pan jest tym, za kogo pana uważam, to musi pan znać go o wiele lepiej, niż trochę! Wówczas Winnetou zdążył do jeziora Mariposa, gdzie miał się spotkać z przyjacielem, ze swoim najlepszym przyjacielem. Pozwolił nam sobie towarzyszyć, postanowiliśmy bowiem skierować się przez Sierra Nevada do Kalifornii. Dotarliśmy bez przygód do jeziora, a spotkawszy tam gromadę białych, przyłączyliśmy się do nich. Ostatniego dnia przybył przyjaciel Winnetou. Obaj jechali do Big Trees na łowy. Wyruszyli ze świtem. Wskutek tego siedział pan z nami przy ognisku tylko przez kilka godzin i być może dlatego nie przypomina sobie mojej twarzy.

— Ja? — zapytałem z miną zdumioną.

— No tak, pan! Czy też może nie jest pan przyjacielem Winnetou? Był pan wówczas inaczej ubrany; oto dlaczego nie przypominałem sobie pana od razu. Ale teraz twierdzę z całą pewnością, że rozmawiam z druhem Apacza.

— Jak się nazywa człowiek, za którego pan mnie wziął?

— Old Shatterhand. Jeśli się omyliłem, proszę wybaczyć, że panu zaprzątałem głowę swoją osobą.

— Nie przeszkadza mi pan, wręcz przeciwnie, pozwolę sobie zapytać, czy pije master kawę po obiedzie?

— Właśnie chciałem zamówić.

— A więc proszę, niech się pan przysiadzie. Proszę bardzo.

Usiadł, dostał filiżankę kawy i pociągnąwszy łyk, powiedział:

— Bardzo uprzejmie z pańskiej strony, że mnie pan zaprosił do stolika.

Lecz mniej grzeczne jest to, że pozostawia mnie pan w niepewności.

— No, zaspokoje pańską ciekawość. Zapewniam, że nie omylił się pan.

— Ach! A więc jest pan Old Shatterhandem!

— Jestem nim. Ale proszę nie krzyczeć! Tych panów dookoła nie interesuje, kim jestem i jak mnie na Zachodzie nazywają.

— Krzyknąłem z radości. — Może pan sobie wyobrazić, do jakiego stopnia jestem zachwycony, że tak...

— Ciszej! — przerwałem. — Tu w morzu cywilizacji jestem tylko znikomą kropelką. Oto moje właściwe nazwisko.

Zamieniliśmy się wizytówkami. Jego nazwisko brzmiało Konrad Werner. Kiedy je czytałem, spojrzał na mnie tak, jak gdyby się spodziewał, że będę zaskoczony lub zgoła oszołomiony. A gdy to nie nastąpiło, zapytał:

— Czy słyszał pan kiedyś moje nazwisko?

— Zapewne wielokrotnie, albowiem Wernerów w Niemczech jest mnóstwo.

— Ale za oceanem, w Ameryce?

— Hm, nie pamiętam. Sądzę, że pan wtedy wymienił nazwisko przy spotkaniu.

— Naturalnie, że wymieniłem. Ale nie to mam na myśli. Nazwisko Werner, Konrad Werner, jest obecnie bardzo popularne w Ameryce. Niech pan pomyśli o Oil-Swamp.

— Oil-Swamp? Aha, zdaje się, że słyszałem tę nazwę i to w szczególnych okolicznościach. Co to właściwie, ustronie jakieś czy mokradła?

— Było mokradłem, ale teraz jest miejscowością, bardzo nawet znaną. Wiadomo, że pan zna Zachód, jak mało kto, i dlatego nie mogę wyjść z podziwu, iż ta nazwa nic panu nie mówi.

— Są powody. Od jak dawna mówi się o tej miejscowości?

— Od dwóch lat.

— Właśnie tyle czasu przebywałem w Ameryce Południowej. I to w takich stronach, dokąd nie dociera żadna wiadomość!

— Cieszy mnie więc, że mogę panu powiedzieć, kim stał się bezradny człowiek, jakim wówczas byłem. Jestem królem nafty.

— Do licha! Królem nafty? Muszę panu serdecznie powinszować.

— Dziękuję! Tak, jestem nim rzeczywiście. Nie myślałem o takim szczęściu wówczas, gdy spotkałem pana i Winnetou. Właściwie zawdzięczam je Apaczowi, gdyż on radził mi porzucić Nevadę i jechać do Kalifornii. Ta rada przyniosła mi parę milionów.

— Jeśli jest pan w istocie milionerem, to proszę, aby się master nie stał złym człowiekiem.

— Nie, nie — roześmiał się król nafty. — Skoro się pan dowie, kim i czym byłem niegdyś, to zrozumie, że niepotrzebnie się o mnie obawia.

— Kim pan był?

— Pędziwiatrem, nicponiem.

— Nie widać tego po panu.

— Bo też zmieniłem się gruntownie. Urodziłem się w przytułku dla ubogich. W rodzinnym domu zawsze brakowało chleba, ale nigdy alkoholu. Nie było też pieniędzy. Szybko więc nauczono mnie żebrać, a nawet kraść. Na szczęście przygarnął mnie wiejski szewc. Ciężko mi się żyło, ale jeść już było co. Wprawdzie nie żałował batów i za byle co mnie karał, lecz nauczył mnie zawodu. Nie wytrzymałem tam długo. Uciekłem od tego surowego człowieka i tułałem się po kraju. Z czasem trafiłem do portu, gdzie zaciągnąłem się na statek. Pracując jako

chłopiec okrętowy, dostałem się nielegalnie do Ameryki, Moje umiejętności szewskie nie na wiele się zdały. Przeszedłem różne koleje losu. Pracowałem w fabryce, byłem handlarzem, lecz niczego się nie dorobiłem.

Kiedy spotkałem pana w górach, właśnie z innymi mężczyznami szukałem złota, lecz jak pan wie, też bez skutku. Byłem biedakiem, nie miałem — zupełnie nic.

— Gdyby mi pan wówczas opowiedział swoje życie tak, jak teraz, na pewno służyłbym dobrą radą i chętnie bym pomógł.

— Widocznie nie było to mi sądzone. Zły los poskąpił mi śmiałości. Jakże mogłem ja, który byłem niczym, zaprzętać swoją osobą wielkiego Old Shatterhanda! Ta nieśmiałość wyszła mi na dobre. Ciekaw jestem, czy pańska rada doprowadziłaby mnie do milionów.

— Ma pan słuszność. Jestem przekonany; że ja sam milionów nigdy się nie dorobię. Ale do rzeczy! Co pan robił w Kalifornii?

— Rzemiosło nic mi nie dało, mniej jeszcze handel, więc imałem się rolnictwa. Zostałem parobkiem. Właściciel szybko mnie polubił. Miałem chęć do pracy i wskutek tego zarabiałem coraz więcej. Pewnego razu diabeł skusił mnie do gry. Zaryzykowałem półroczne wynagrodzenie i... wygrałem, ale byłem jeszcze dość rozsądny, aby w porę odejść od stołu. W dwa lata zebrałem pięćset dolarów. W tym czasie wysłał mnie gospodarz do Jone-City po zakupy. Zabrałem swój mająteczek, aby go ulokować w bezpiecznym miejscu. Lecz oto spotkałem Jankesa, który zaproponował mi kupno gruntu nad górską rzeczką. Przysięgał stokrotnie, że jest to najlepsza ziemia w całej Kalifornii. Zaintrygowało mnie to. Dotąd byłem najmitą, a oto mogłem zostać gospodarzem. Koledzy Jankesa namawiali gorąco, ubiłem więc interes.

— Za ile?

— Za czterysta dolarów gotówką.

— Czy Jankes był istotnie posiadaczem tego gruntu? Wie pan, jakie matactwa dzieją się przy tego rodzaju transakcjach. Słyszałem nawet, że sprzedawano i kupowano tereny, których wcale nie było.

— Ale w tym przypadku było inaczej. Zanim kupiłem, poinformowałem się u władz miejscowych. Ziemia ta istniała i należała do Jankesa, któremu wolno było ją sprzedać.

— Ale dlaczego sprzedawał? Skoro ją tak chwalił, powinien był zatrzymać dla siebie.

— Wyłuszczył mi powody. Tęsknił do awanturniczego życia i nie mógł usiedzieć na miejscu.

— Hm! Był to jednak wybieg.

— Oczywiście. Skoro dobiłem targu i wypłaciłem gotówkę, Jankes i jego towarzysze wyśmiali mnie. Powiedzieli wręcz, że kupiłem mokradła, do niczego niezdatne bagnisko!

— Bagna... Aha, zbliżamy się do Oil-Swamp!

— Owszem. Gospodarz mój, dowiedziawszy się o moim niefortunnym zakupie, zaczął się na mnie gniewać. Niechętnie się ze mną rozstawał. Radził, abym uważał pieniądze za stracone i nie zwracając sobie głowy moczarami pracował u niego, jak dotychczas. Twierdził, że zaoszczędzę przynajmniej ostatnią setkę dolarów, którą zamierzam wydać na podróż, i że wkrótce znów się dorobię uczciwie pracując na roli. Nie dałem się jednak namówić. Skoro kupiłem grunt, chciałem go przynajmniej zobaczyć, choćbym miał stracić ostatnie grosze. Pewien Niemiec, nazwiskiem Ackermann, zamożny obywatel z San Francisco, kupił w pobliżu mego mokradła las i udał się tam, aby urządzić tartak. Przedsięwzięcie zaczęło się skromnie, ale zataczało coraz szersze kręgi. Syn tego Niemca pozostał w San Francisco, zatrzymany interesami, ale po ich załatwieniu podążył w ślad za ojcem. Spotkałem się z nim po drodze. Jechaliśmy do tej samej miejscowości. Mój towarzysz był tam już dawniej, aczkolwiek krótko. Obejrzawszy papiery i plan, potrząsnął głową i rzekł:

— Jest pan naszym najbliższym sąsiadem. Nie mogę pana jednak pocieszyć. Nabył pan rzeczywiście bagna. Jak na cenę, którą pan zapłacił, jest to ogromny szmat ziemią ale cóż z tego, skoro bezużyteczny.

Była to kiepska pociacha. Niebawem ojciec potwierdził słowa syna. — Posiada pan — rzekł — obszerną kotlinę, — bagna, otoczone gołymi, nie porośniętymi wzgórzami. Gdzieniedzie tylko spotyka się samotną roślinkę. Co z tym można zrobić? Po prostu wyrzucił pan pieniądze w błoto.

— Przynajmniej niech obejrzą te mokradła — rzekłem przygnębiony. — Jest to jedyna pociacha, jaką będę z nich miał.

— Stanowczo jedyna. Wypocznie pan u mnie. Jutro pojedzie pan i jeśli nic nie ma master przeciwko temu, dotrzymam panu towarzystwa.

Nazajutrz rano wyruszyliśmy. Towarzyszył nam również syn Ackermanna. Jechaliśmy długo przez lasy iglaste. Należały do niego i mogły dostarczyć tartakowi niewyczerpanej ilości drzewa. Następnie przejechaliśmy przez nagie wzgórza, które się naraz rozstały, biegnąc dokoła obszernej niziny o monotonnym pejzażu. Przed nami rozpościerało się bagno. Nic więcej prócz bagna! U brzegu widać było jeszcze nieco krzewów. Trochę dalej rosło sitowie, następnie mech, zielonkawobrazowy błotny mech, sterczący między bladymi kałużami. Żadna inna roślinność nie mogła się tutaj utrzymać.

— Oto jesteśmy na miejscu — rzekł starszy Ackermann. — Ten widok jest tak przygnębiający, że ilekroć tu zaglądam, czym prędzej uciekam z powrotem.

— A więc nie wchodził pan głębiej?

— Nie.

— A jednak chętnie sprawdzę, czy tam nie jest inaczej.

— Naturalnie, że nie! Widać to na pierwszy rzut oka.

— Być może. Ale muszę objechać dookoła swoją posiadłość. Jeśli obejrzą ją ze wszystkich stron, powetuję sobie tą przyjemnością stratę dolarów i noga moja nie postanie tu więcej.

— Jak pan uważa! Mamy sporo czasu. A zatem objedziemy miejscowość. Ale trzeba się mieć na baczności, grunt jest bowiem zbyt wodnisty i można łatwo się zapaść.

Jechaliśmy bardzo ostrożnie. Naraz poczuliśmy osobliwy zaduch. Stary, który jechał na przodzie, wywachał go natychmiast. Osadził konia, wdychał powietrze w nozdrza i odezwał się:

— Co za wstrętny, przenikający smród? Nie czułem go do tej pory. Cuchnie jak w trumnie!

— Jak trup — dodał syn.

— Jak smołowiec — wtrąciłem.

Nie zatrzymaliśmy się jednak, jadąc dalej. Zaduch był coraz bardziej nie do zniesienia. Dotarliśmy do miejsca, gdzie na bagnach, leżących po prawej ręce, nie rosła żadna roślinność. Woda była tłusta, jak gdyby polana cieczą lśniąca niebiesko i żółto. Nagle stary Ackermann wydał okrzyk, zeskoczył z konia i podszedł do wody.

— Na miłość boską! — zawołał przestraszony syn. — Nie waż się iść dalej, ojcze! Zatrzymaj się, zostań!

— Muszę zbadać, dokładnie zbadać! — odpowiedział stary z niezrozumiałą dla nas stanowczością.

— Grunt chwieje się pod nogami.

— Niech się chwieje!

Dotarł do brzegu kałuży. Stał po łydki w błocie i pogrązał się coraz głębiej. Widzieliśmy, jak pełnymi garściami czerpie wodę i wacha. Tkwił już po kolana w szlamie. Wreszcie z dużym wysiłkiem wygrzebał się i wrócił do nas. Nie dosiadł konia, tylko podszedł do mnie i zapytał:

— Czy nie mówił pan, że zostało panu tylko sto dolarów?

— Tak.

— Pragnę odkupić to bagnisko. Ile pan żąda?

— Osobliwe pytanie! Czy da mi pan czterysta dolarów, które zapłaciłem?  
— Nie. Dam panu więcej, o wiele więcej.  
— Ile?  
— Bardzo wiele. Powiedzmy sto tysięcy, powiedzmy nawet pół miliona dolarów!  
Zaniemówiłem ze zdumienia. Wszak nie były to żarty. Ackermann w ogóle nie był żartownisiem, a że nie kpił, o tym świadczyło jego oblicze.  
Nie doczekawszy się odpowiedzi, dodał:  
— Młody człowieku, jest pan szczęśliwcem, wybrańcem fortuny. Na tej wodzie pływa petroleum. Olej skalny. Widocznie w ogromnych ilościach znajduje się pod ziemią. Jesteś milionerem!  
— Mi–lio–ne–rem! — powtórzyłem niemal bełkocąc. — Czyż to możliwe? Myli się pan, na pewno myli się!  
— Nie, stanowe: no nie! Przez długie lata mieszkałem na terenach naftowych za nowymi etanami. I znam się na tym dobrze. Wiem, co to nafta. Niech mi pan wierzy.  
— Pe–tro–le–um! Milioner! — bełkotałem.  
— Tak, jest pan milionerem. Jest pan tym, kogo nazywają w naszym kraju „królem naftowym”. To znaczy, że nim będziesz. Nie wystarczy być posiadaczem terenów naftowych, trzeba naftę wydobywać i zamieniać na pieniądze.  
— Wydobywać?  
— Tak, za pomocą odpowiednich maszyn. A maszyny są drogie.  
— A zatem nie zostanę milionerem. Skąd wezmę dosyć pieniędzy na maszyny?!— Drogi sąsiedzie, niech pan nie będzie tak krótkowzroczny. Nie potrzebuje pan pieniędzy. Ani grosza. Niech pan tylko da ogłoszenie, a natychmiast zjawi się stu, a nawet więcej finansistów, skorych do przekazania panu swoich kas.  
— To prawda. Ja też tak myślę — wtrącił junior.  
— Ale ci ludzie nie są bezinteresowni. Będzie pan musiał odstąpić im wielu, bardzo wielu przywilejów. Znam jednak jednego, który nie będzie z pana zdzierać jak tamci.  
— Któż to?  
— To ja, stary Ackermann. Będę z panem postępował uczciwie, jak sąsiad. Czy chce pan spróbować?  
— Dlaczego nie? Ale czy posiada pan odpowiednie fundusze?  
— Już ja je zbiorę, niech się pan o to nie martwi! A jeśli nawet mego majątku nie starczy, zdobędę na nieduży procent kredyt, podczas gdy inni finansisci postawią panu wygórowane warunki. Niech pan się zastanowi nad moją propozycją. A teraz pojedziemy dalej, aby obejrzeć całe mokradło i zbadać, czego się można po nim spodziewać.  
— To, co następnie ujrzał, przepełniło go takim zadowoleniem, że z miejsca zaproponował mi ogromnie korzystne warunki. Ubiłem z nim interes. Nie będę panu opowiadał, jak się rozwijał. Mówiąc krótko, Ackermann był uczciwym człowiekiem i nie nadużył mego zaufania. Wieść o naszym Oil–Swampie błyskawicznie rozeszła się po Stanach Zjednoczonych i poza nimi. Wielkie kapitały zainteresowały się naszym przedsiębiorstwem. Urosło do olbrzymich rozmiarów. I oto po upływie niespełna dwóch lat jestem królem nafty, zaliczam się do milionerów i przyjechałem tutaj, aby sprowadzić do siebie matkę.  
— Żyje jeszcze?  
— Spodziewam się, że tak, ale nie wiem na pewno. To był pierwszy powód, który mnie sprowadził do Niemiec.  
— Ma pan jeszcze inny?  
— Tak. Wyznam panu, albowiem zna pan Amerykę i nie będzie się pan ze mnie śmiał. Otóż pragnę sobie poszukać w Niemczech czegoś... kogoś...  
— Odważnie, mój drogi panie! Nie powinien się pan krępować. Jeśli się pan wstydzi wypowiedzieć — to słowo, wyręcę pana: pragnie pan poszukać sobie żony?

— Tak. To prawda.

— Ponieważ nie podobają się panu Amerykanki?

— Słusznie! Co ja pocznę z żoną o malutkich nóżkach i drobniutkich rączkach, z żoną wiele wymagającą? Wprawdzie stać mnie na zaspokojenie kaprysów żony, ale i ja chciałbym posiadać jakieś kaprysy, a tego nie znieśie żadna Amerykanka. Zresztą, nie zaznałem nigdy szczęścia rodzinnego, a pragnąłbym je poznać, odczuć, mam zaś przeświadczenie, że szczęście takie można posiadać jedynie przy boku rodaczki;

— Podzielał pańskie zapatrywania. Ale zostawmy na razie ten temat. Kiedy pan wylądował?

— Wczoraj.

— Kiedy pan wyjeżdża?

— Jutro.

— Ja także. Jadę przez Lipsk. Tamtędy prowadzi również pańska droga. Chce pan ze mną jechać?

— Jeśli pan pozwoli, z wielką przyjemnością.

— A więc jedziemy razem.

Istotnie razem udaliśmy się do Lipska, a stamtąd skierowałem się do Drezna, Werner zaś przez Zwickau w góry. Przynależ, że jeśli to będzie możliwe, odwiedzi mnie w Dreźnie, aby zawiadomić o rezultacie podróży.

Odwiedził mnie wcześniej, niż się spodziewałem, mianowicie już po dwóch dniach. Dowiedziałem się, że podróż była daremna: matką jego od dawna nie żyła. Umarła po ataku delirium tremens. Opowiadał to tonem tak obojętnym, jak gdyby tyczyło zupełnie obcej osoby. Dowiedziawszy się, że matka nie żyje, nie odwiedził już nawet majstra, lecz czym prędzej wyjechał z rodzinnego miasteczka, nie chcąc być przez nikogo rozpoznany. Ten chłód świadczył niewątpliwie o braku serca. Teraz dopiero to sobie uświadomiłem, bo jeśli sądził, że matka żyje, powinien był przesłać jej pieniądze. Ale jakkolwiek nie podobało mi się jego postępowanie, istniały jednak okoliczności, które w jakimś stopniu usprawiedliwiały Wenera.

Zamieszkał w najlepszym hotelu i odwiedzał mnie codziennie, chociaż nie mogłem mu poświęcić zbyt wiele czasu. Interesowały mnie jego niezwykle losy od terminatora szewskiego do króla naftowego i nic poza tym. Przyjmowałem go grzecznie, ale nie zamierzałem rewizytować. Wkrótce jednak zmuszony zostałem przez los do pełniejszego zajęcia się nim.

Kiedyś, przed wielu laty, podczas wycieczki w góry, spotkałem w małej wiosce muzykanta, który tak wyśmienicie grał na skrzypcach, że wdałem się z nim w rozmowę. Był to zabawny człowiek, wyrażał się w śmiesznym miejscowym dialekcie i nagadał mi wiele o synu i córce, którzy mieli być muzykalniejsi od niego. Syn, mówił, gra na wiolinie akurat jak Paganini, a córka jest z bożej łaski w każdym razie słowikiem, bo tak cudnie śpiewa.

Nazajutrz gdy go odwiedziłem, zobaczyłem, że biec la aż pischczała z kątów, ale stary nie przesadzał: dzieci były niezwykle utalentowane. Postanowiłem zaopiekować się nimi i po powrocie do Drezna poleciłem je znajomemu dyrygentowi, który uczył mnie niegdyś muzyki. Wskutek jego zabiegów kilku zamożnych miłośników muzyki złożyło się na edukację zdolnych dzieci muzykanta. Sprowadziliśmy rodzeństwo do Drezna. Wspomniany dyrygent sam się przyłożył do ich wykształcenia, a ja także, skoro wracałem z podróży, poświęcałem im wiele czasu. Nie zawiedli też naszych nadziei. Niebawem Franciszek wstąpił jako pierwszy skrzypek do. — pierwszorzędnej orkiestry, Marta zaś została ulubienicą publiczności. Zarabiali już tyle, że mogli wspierać swoich biednych rodziców i starą babkę. Po pewnym czasie Franciszek wystąpił z orkiestry, aby się oddać poważniejszym studiom. Pragnął zostać wirtuozem. Posiadał ku temu odpowiednie zdolności, a także wytrwałość i pilność. Liczył na pomoc dotychczasowych opiekunów oraz na zarobki swej urodziwej siostry. Oboje obdarzali mnie szczególną wdzięcznością, nazywając swoim odkrywcą, i za każdym moim pobycem dawali temu wyraz w sposób niezmiernie wzruszający.



Marta miała wielu gorących wielbicieli. Mogła niejednokrotnie doskonale wyjść za mąż, ale ona żyła tylko dla rodziców i brata. Pocieszała też babkę, od której dość dawno dowiedziała się, że jej syn, a zatem wuj rodzeństwa, wyjechał do Ameryki i wszelki ślad po nim zaginął. Uważano, że umarł w drodze, albowiem żadna wieść o nim nie dotarła do ojczyzny.

Wróciwszy z Południowej Ameryki, przede wszystkim odwiedziłem sympatyczne rodzeństwo. Franciszek zbliżał się do swego celu, Marta jeszcze bardziej wypiękniała. Oboje borykali się z kłopotami. Nie mówili mi o nich, ale sam odgadłem. Nie byłoby im tak ciężko, gdyby rodzice nadal pozostali tak samo bezpretensjonalnymi ludźmi, jakimi byli dawniej. Ale ojcu kariera dzieci uderzyła do głowy. Opuścił rodzinną wioskę, przeniósł się do Drezna i żył tak, jakby córka była co najmniej słynną solistką. Dowiedziałem się o tym nie od niej, tylko od osób trzecich, i zamierzałem przywołać starego do porządku, gdy naraz nowe okoliczności stanęły mi na przeszkodzie.

Oto król nafty, który od kilku dni przestał mnie odwiedzać, przyszedł i radośnie oznajmił o swoich zaręczynach ze śpiewaczką Martą Vogel. Byłem nie tyle oszołomiony, ile zaskoczony. Jakże mogło się to stać tak prędko? Wiedziałem, że Werner bywał na jej koncertach, ale nie posądzałem go o tego rodzaju zamiary wobec niej. A Marta, czy kochała go? Ledwo mogłem w to uwierzyć. Był wprawdzie, milionerem, ale nie uważałem go za kogoś godnego dla niej. Odwiedziłem natychmiast Martę. Znalazłem ją w tak wyśmienitym i doskonałym humorze, że pominąłem milczeniem moje wątpliwości. Nie życzyłem Marcie Wenera, ponieważ nie był człowiekiem, który mógłby ją uszczęśliwić, nie miałem jednak prawa mieszać się do spraw osobistych mojej pupilki. Zamierzała, poślubić milionera. Robiła, jak się jej ojciec wyrażał, niezwykle dobrą partię. Czy powinienem temu przeszkodzić?

Nie byłem na zaręczynach, a swą nieobecność wytłumaczyłem interesami.

Werner jako dawny uciekinier nie posiadał żadnych dokumentów osobistych. Jakże mógł w tak krótkim czasie zdobyć potrzebne papiery? Tego nie wiem. Faktem jest, że w cztery tygodnie po zaręczynach odbył się ślub. Pośpiech był uzasadniony, wszak czas już było wracać do Ameryki. Oczywiście, zaproszono mnie na wesele. Poszedłem jedynie ze względu na Martę. Moja nieobecność zmartwiłaby ją bardzo. W dwie godziny po ślubie Werner był tak pijany, że musiano zaprowadzić go do drugiego pokoju. Zjawił się ponownie dopiero po kilku godzinach i sięgnął natychmiast po szampana. Niebawem był znów wstawiony. I właśnie teraz pokazał swoje prawdziwe oblicze. Chełpił się swymi milionami, bajdurzył o smutnych latach młodości; aby pokazać, jakie jest jego bogactwo, wylewał strumienie szampana pod stół, — obrzucał obecnych obelgami, a gdy próbowano go mitygować, odpowiadał takimi szyderstwami, że wszyscy goście po kolei opuszczali dom weselny. Chciałem uczynić to samo, lecz Marta ze łzami w oczach prosiła mnie tak gorąco, abym zostałem, że uległem jej prośbom. Zostaliśmy tylko — państwo młodzi, ja i krewni Marty. Werner nie przestawał pić. Panna młoda spoglądała na mnie błagalnie. Zrozumiałem jej niemą prośbę. Z żartobliwą wymówką odebrałem małżonkowi flaszkę. Skoczył jak oparzony, wyrwał mi butelkę z ręki i zanim zdążyłem zareagować, rzucił nią w moją stronę, miotając przy tym obelgi. Wyszedłem bez słowa. Nazajutrz oczekiwałem go, przypuszczając, że przyjdzie mnie przeprosić. Nie zjawił się jednak, tylko przysłał list, w którym bardzo ubolewał, że zawarł ze mną znajomość. Zauważył, że jestem przeciwny jego małżeństwu i wobec tego zabronił żonie pożegnać się ze mną.

Po upływie kilku dni odwiedził mnie Franciszek Vogel. Nie dał się namówić, aby wyjechać do Ameryki. Odprowadził ich tylko do Bremerhaven. Przyniósł mi od siostry kilka słów napisanych przed odjazdem. Dziękowała za wszystko, co dla niej zrobiłem, jak również za pobłażliwość wobec męża.

Franciszek został w Dreźnie. Otrzymywał wsparcie od szwagra milionera, jednakże nie dość wystarczające. Od czasu do czasu przynosił mi ukłony od siostry. Z jego słów wywnioskowałem, że Marta nie jest szczęśliwa, co nie mogło usposobić mnie przychylnie do

Wenera. Był to pospolity gałgan. Czyniłem sobie wyrzuty, że nie usiłowałem zapobiec temu związkowi.

Po dłuższym czasie wróciłem do Stanów Zjednoczonych. Zostałem wysłany z San Francisco do Meksyku jako korespondent; przeżyłem wiele interesujących przygód, opisanych później w książce, którą zatytułowałem „Szatan”. Bez niespodzianek dotarłem do Teksasu, gdzie za pieniądze zdobyte na łotrach, zakupiłem ziemię dla emigrantów i Playera. Przez dłuższy czas bawiłem u nich, a następnie pojechałem wraz z Winnetou przez Llano Estacado do Nowego Meksyku i do Arizony na łowy i w odwiedziny do kilku plemion indiańskich. Stąd skierowaliśmy się przez Nevadę do Kalifornii i San Francisco, gdzie Winnetou wymienił na pieniądze złoty proszek i bryłki, które po drodze wydobył ze swej tajemnej skrytki.

Myśleliśmy o kilkudniowym jedynie pobycie w San Francisco. Bywaliśmy już niejednokrotnie w tym mieście. Zналиśmy je nie gorzej od każdego mieszkańca, uważaliśmy więc, że można lepiej spędzić czas poza miastem, niż na wążaniu się po znanych nam ulicach. Zamierzaliśmy wyruszyć w góry Sierra Nevada, do Utah i Colorado, gdzie mieliśmy się rozstać, ja bowiem pragnąłem powrócić przez Kansas i Missouri na Wschód, by wsiąść na okręt, płynący do mojej ojczyzny.

Szybko załatwiliśmy interesy w San Francisco, więc łaziliśmy bez celu po mieście. Nosiłem jeszcze ubiór Meksykanina, Winnetou zaś przyodziany był z indiańska, ale to nie zwracało niczyjej uwagi — takie zjawiska należą tam do codziennych.

Po obiedzie zwiedziliśmy słynne ogrody: Woodwarda, botaniczny i zoologiczny. Gdy zmierzaliśmy ku akwariom, spotkaliśmy trzy osoby, które przyglądając się nam, zatrzymały się w pobliżu. Nie zwróciłem na nie uwagi, byli to zapewne cudzoziemcy, których zainteresował charakterystyczny wygląd Winnetou. Lecz gdy wymijaliśmy ich, usłyszałem w mojej mowie ojczystej:

— Jako żywo! Czy to nie doktor drezdeński, który moje dzieciaki z biedy do Drezna wygmerał?

Odwróciłem się oczywiście natychmiast. Za mną stały dwie panie i mężczyzna. Jedna z pań nosiła woalkę, nie mogłem przeto dostrzec jej twarzy. Druga miała wykwinny strój, który jakoś nie pasował do niej. Wyglądała, jak w pożyczonym ubraniu. Twarz jejmości była skądś mi znajoma. Strój jednak i spotkanie tu, w innym kraju, zaskoczyły mnie. Mężczyzna trzymał się jak prawdziwy Jankes, co nadawało mu dość komiczny wygląd. Dlatego zawołałem ze śmiechem:

— Do licha! Czy to pan, naprawdę? Przedzierzgnął się pan w stuprocentowego Amerykanina!

Tak, to był muzykant Vogel, ojciec Franciszka i Marty. Wyprostował się jeszcze bardziej i bijąc się w piersi, odpowiedział:

— Nie tylko w Amerykanina, ale także i w milionera. Niech no pan pomyśli: prawdziwe miliony! A co, nie zna pan mojej żony i córki? Czy nie poznaje pan?

— Ojcie! — wtrąciła córka. — Wszak wiesz, że wszystko zawdzięczamy temu panu. Witam pana — zwróciła się do mnie, wyciągając rękę i patrząc na mnie uważnie. Po chwili zwróciła się do Apacza, podała mu również dłoń, po czym zapytała:

— Jak długo panowie tutaj zabawicie?

— Zapewne już jutro wyjedziemy z San Francisco.

— I nie zamierzają pan nas odwiedzić? Czy to nie okrucieństwo? Niech pan z nami pojedzie, proszę pana z całego serca!

— A małżonek pani...?

— Będzie szczerze uradowany. Ale prawdopodobnie w domu go nie ma.

— Dobrze, jadę. Pozwoli pani, że się tylko umówię z przyjacielem.

— Nie, ależ nigdy! Tyle słyszałam i czytałam o słynnym wodzu, że darzę go najgłębszym szacunkiem. Niech go pan zabierze z sobą.

Winnetou nie rozumiał naszej rozmowy, gdyż była prowadzona po niemiecku. Lecz dla niego nie trzeba było słów. Skoro wzięłem pod rękę Martę, zajął miejsce przy niej z prawej strony i kroczył tak dumnie i z taką godnością, że wszyscy przechodnie zwracali na nas uwagę.

Przed ogrodem czekał powóz króla nafty. Tylko milioner mógł sobie pozwolić na taki pojazd i zaprzęg. Wsiadliśmy i zajęliśmy miejsca na wprost Marty, po czym konie ruszyły z kopyta.

Spotkanie nasze tutaj, w San Francisco, nie zdziwiło mnie bynajmniej. Lecz że Wernerowie posiadali tu dom, to wydało mi się dosyć dziwne. Dlaczego bowiem nie mieszkali na swych terenach naftowych? Naturalnie nie śmiałem o to wprost spytać Marty, odpowiedź sama szybko się nasunęła.

Powóz zatrzymał się przed budynkiem, który w zupełności zasługiwał na nazwę pałacu. Ież musiały kosztować same kolumny marmurowej bramy! Nad nimi świeciły wielkie pozłacane litery. Nie zdążyłem odczytać, musieliśmy bowiem wysiąść. Pomagali nam dwaj Murzyni, a właściwie usiłowali mnie i Winnetou pomóc. Następnie wyprzedzili nas i w bogato urządzonej przedsiönku otworzyli drzwi do małej komnaty, umeblowanej niemal jak buduar. Weszliśmy do środka. Ledwie pani domu usiadła na kanapie, ta zaczęła się szybko podnosić do góry. Była to winda mechaniczna, poruszana parą, w kształcie rozkosznego umeblowanego pokoiku.

Wysiedliśmy na drugim piętrze w pokoju również wspaniale urządzonej. Widać tu było ogromny przepych. Właściciel na pewno chciał zaimponować bogactwem. Natomiast tu i ówdzie poustawiane drobiazgi wskazywały, że pani domu usiłuje starania jego osłabić.

Zdawało się, że dopiero teraz Marta odzyskała dawną swobodę. Podała rękę mnie i Winnetou i rzekła bardzo serdecznie:

— Oto jesteśmy w domu. Nie tak prędko panów wypuszczę. Musi pan zostać przez kilka dni, przez parę tygodni. Musi mi to pan przyrzec!

Niepodobna było zadośćuczynić jej życzeniu, z uwagi na jej męża, z którym nie chciałem mieszkać pod jednym dachem. Odpowiedziałem więc:

— Chętnie bym przystał, gdyby to było możliwe. Ale musimy naprawdę jutro wyruszyć.

— O, ma pan czas, wiele czasu! Gdzieś na pustkowiu, gdzie ściga pan wroga lub tropi przestępcę, istotnie każda chwila jest cenna. Ale zbyt wiele czytałam o panu, aby nie wiedzieć, że nic pana nie nagli, skoro przebywa pan w takim mieście, jak San Francisco.

— Myli się pani. Bardzo ważne powody skłaniają nas...

— Proszę pana, bez wybiegów! — przerwała. — Pomówmy ze sobą szczerze, ale to zupełnie szczerze. Mój mąż jest powodem pańskiej odmowy, czyż nie tak? Proszę nie przeczyć i nie usprawiedliwiać się. Zaraz panu dowiodę, że będzie pan mile przez niego powitany. Natychmiast sprowadzę go z biura. Wybacz pan, że odejdę na chwilę.

Wyszła z pokoju. Wtedy Winnetou rzekł do mnie:

— Ta squaw jest tak piękna, że nigdy równie pięknej kobiety nie widziałem. Mój brat niech mi powie, czy ona ma męża?

— Owszem.

— Kim jest jej mąż?

— Dawnym obieżyświatem, pochodzącym z mojej ojczyzny, który dorobił się majątku na odkryciu nafty.

— A gdzie on ją poznał?

— W ojczystym kraju. Przed dwudziestu miesiącami przyjechali do Ameryki.

Apacz zamyślił się na chwilę, po czym rzekł:

— Wówczas Old Shatterhand również przebywał w ojczyźnie. Mój brat znał ją wtedy?

— Tak.

— A zatem za twoją sprawą została żoną tego człowieka. Howgh!

Gdy wymawiał słowo „howgh”, co zdarzało się tylko w zakończeniu ostrzeżenia lub kategorycznego twierdzenia, był to znak niezawodny, że jest pewny swoich słów i że nie pozwoli się wprowadzać w błąd. Tym razem zdumiewała mnie jego przenikliwość, odgadująca to, czego nikt inny nigdy nie potrafiłby dostrzec.

Wkrótce wróciła Marta. Oznajmiła z determinacją odbijającą się w wyglądzie i mowie:

— Mego męża, niestety, nie ma w biurze. Interesy tak go pochłaniają...

Westchnęła, ale to odnosiło się raczej do niej samej, niż do jego przepracowania.

— Interesy? — zapytałem. — Wszak ma pracowników, na których może polegać?

— No tak, ale sprawy są często tak powikłane, a wspólnik nie bardzo się nimi zajmuje, więc ciężar spada na mego męża.

— Powikłane, powiada pani? Nie rozumiem dlaczego. Wspólnik zaś, pan Ackermann, wydaje mi się z tego, co o nim słyszałem, przedsiębiorczym i zacnym człowiekiem.

— Ackermann? Nie o nim myślałam, on już nie jest naszym wspólnikiem. Obecny wspólnik nazywa się Potter i nie jest Niemcem, ale Jankesem.

— Dlaczego mąż pani zerwał z Ackermannem i...

— A dlaczego pan pyta o to? Ach, teraz sobie uświadamiam, że pan nie wie o niczym. Czy nie odczytał pan napisu na frontonie pałacu?

— Nie.

— A więc nie wie pan, że mój mąż jest obecnie współwłaścicielem banku handlowo — rolniczego?

— Nie miałem pojęcia. Bank? Hm. Ale poza tym posiada jeszcze Oil-Swamp?

— Nie. Rozstał się z Ackermannem i z całym koncernem.

— Ale dlaczego, dlaczego?

— Pyta pan w sposób budzący trwogę, panie doktorze! Nie podobało mu się tam nad bagnami, a także mnie i moim rodzicom odpowiadał bardziej pobyt w mieście. Poznaliśmy Pottera, który jest przedsiębiorczym businessmanem, mimo że przeważnie zrzuca obowiązki na barki mego męża. Usłuchaliśmy jego rady. Mąż odstąpił swych praw do Oil-Swamp za trzy miliony dolarów. Przyjechaliśmy do miasta i założyliśmy nową firmę.

— Ile wpłacił Potter do spółki?

— Nic. Mój mąż włożył kapitał, Potter zaś fachowość. Wszak pan wie, że Werner nie miał żadnego wykształcenia handlowego.

— Dlaczego zamienił pewne przedsiębiorstwo na niepewne?

— Uważa pan naszą obecną sytuację za niepewną?

— Nie mogę wyrazić swego sądu, albowiem nie znam firmy. Wiem tylko tyle, że dawny wspólnik Ackermann był człowiekiem godnym zaufania.

— Potter także zasługuje na zaufanie. Ale słyszę, że nadchodzą moi rodzice. Nie mówmy przy nich o tych sprawach. Nie chciałabym ich martwić wątpliwościami, które zapewne są bezpodstawne.

Winda przywiozła oboje rodziców.

— Jesteśmy! — zawołał były muzykant, wchodząc wraz z żoną do pokoju. — I nie szybko wyjdziemy — dodał po chwili.

— Mimo to niedługo będziecie się cieszyć obecnością naszego miłego krajana — rzekła Marta. — Zamierza bowiem wkrótce nas opuścić.

— To niemożliwe!

— Wrócimy jeszcze do tego tematu. Przede wszystkim poprosimy panów, aby zostali na obiad. Wówczas przyjdzie Werner i skłoni ich, aby dłużej u nas gościli. Chwilowo ja i mama będziemy zajęte. Zaprowadź, ojcze, tych panów do palarni i zabaw przez krótką chwilę.

Udaliśmy się za starym, do palarni. Panował tu nie mniejszy przepych i nadmiar złota niż w innych pokojach. Stary poczciwy Vogel nie czuł się dobrze pośród tych mebli, obrazów i ściennych lichtarzy. Nie wiedział, gdzie podziać ręce i nogi, aż wreszcie usiadł w bujanym

krześle, ponieważ było najniższe i najbardziej wygodne. W dawnej swej izbie siadywał przeważnie na niskich stołkach.

Wziąłem bez zaproszenia cygaro, co również uczynił Winnetou, który nie mógł niestety brać udziału w rozmowie, bo nie znał niemieckiego.

— Teraz jesteśmy sami — zaczął stary — tylko sami mądrzy ludzie. Możemy szczerze pogwarzyć. Jak pan myśli, co?

— Naturalnie — potwierdziłem.

— Co właściwie pan sądzi o milionerze, o moim zięciu?

— Nie znam go.

— Przecież poznał go pan w Niemczech?

— Bardzo powierzchownie. Od tego czasu nie widziałem go i nic o nim nie słyszałem.

— Hm, tak. Powinien był co najmniej napisać do pana. Ale niedobrze o panu gada.

— A to z jakiego powodu?

— Ano tak sobie, bez powodu. Codziennie już od samego rana zaczyna popijać alkohol, i tak przez całe dni.

— Co też pan mówi?

— Tak jest, tak.

— A co na to pańska córka?

— Co ona biedna może? Nie ma nic do powiedzenia.

— A więc aż tak? Niepiękne to życie...

— Żyją jak pies z kotem. Bywa, że przez cały boży dzień nie przemówią do siebie żadnego słowa, chyba że Werner przyjdzie na obiad.

— Czy tak było od początku?

— Nie. W Oil-Swamp było inaczej. Żyliśmy tam w wielkiej zgodzie. Ale odkąd mister Potter został naszym wspólnikiem, wszystko się zmieniło.

Wie pan, ten Potter to nawet bardzo mi się podoba. A jak on spogląda na moją córkę!

— Pańska córka żaliła się, że Werner ciężko pracuje.

— Babskie gadanie! Niech pan nie wierzy. Potter ma na głowie cały interes. Ciągłe gdzieś pędzi, pisze i haruje przez cały dzień. A Werner to tylko leniuchuje. Jest członkiem klubów i innych towarzystw, gdzie się rżnie w karty i pije na umór. Byłby osłem,; gdyby tego nie robił, bo milionami potrząsa i może sobie na wszystko pozwolić. Ano, niech Potter za niego robi!

Nie przestawał gadać. Plótl, co mu ślina na język przyniosła, zachłystywał się milionami swego zięcia i nie i zdawał sobie sprawy, że stan ich interesów i stosunków rodzinnych przerażał mnie. Nie wiedziałem, czy Marta kocha męża. Jeśli go nawet nie kocha,; to stara się to ukryć. Podczas pierwszych tygodni żyli ze sobą dobrze, aż do czasu zjawienia się Pottera. Zupełnie jasno uprzytomniłem sobie, że ten Jankes zmierza ku zagarnięciu majątku; Wenera, który obdarzył go bezgranicznym zaufaniem i grzął przez to coraz bardziej w pułpkę, w której szykowano mu kompletną finansową ruinę. Potter chciał Wenera doprowadzić do bankructwa, aby następnie wraz z majątkiem zabrać mu jego piękną i młodą żonę.

Cóż mogłem uczynić? Zdemaskowanie łotra wymagałoby czasu, zapewne długiego, a może zresztą było już za późno. Musiałbym wejrzeć także w interesy firmy, co spotkałoby się niezawodnie z oporem obu wspólników. Łatwo mogłem pogorszyć sytuację. Podczas gadania starego biłem się z myślami, w końcu jednak postanowiłem w ogóle nie interweniować.

Niebawem przyszła pani Vogel i poprosiła nas do stołu. Marta nie przysłała po nas służącego, gdyż chciała nadać przyjęciu ciepły i przyjacielski charakter. Było to skromne przyjęcie. Spostrzegłem, że Marta jak gdyby wewnętrznie odżyła. Podczas obiadu panowała niezmiernie miła atmosfera, jak za naszych dawnych spotkań. Powstawszy od stołu, zapaliliśmy cygara, podczas gdy pani domu wyszła do sąsiedniego pokoju, gdzie znajdowało się pianino. Najpierw zabrzmiały melodyjnie dźwięki samego instrumentu, a następnie rozległ się przepiękny głos byłej śpiewaczki.

Byłem odwrócony tyłem do wejścia. Winnetou siedział przy mnie i słuchał z zapartym tchem. Nie rozumiał ani słowa, ale był oczarowany piękną pieśnią. Naraz twarz jego przybrała inny wyraz. Z napięciem wpatrywał się we drzwi i uczynił ruch, jak gdyby chciał wstać z krzesła.

Odwróciłem się czym prędzej. Za mną w otwartych drzwiach stali dwaj mężczyźni, król nafty i, jak się później dowiedziałem, Potter. Był to młody człowiek, dobrze zbudowany. Jego twarz przybrała wyraz oczekiwania. Zaczerwienione oczy Wenera wpiły się we mnie złowrogo. Chwiał się na nogach. Widać było, że jest pijany jak bela.

Ponieważ nosiłem strój meksykański, przeto nie poznał mnie, dopóki się nie odwróciłem. Teraz, patrząc na mnie, ścisnął pięści i zataczając się ruszył w moją stronę. Wykrzykiwał z wściekłością:

— To łotr, który chciał odstręczyć ode mnie żonę! I ważył się tu przyjść dzisiaj? A ona śpiewa mu tę pieśń? Do wszystkich diabłów, Potter, bierz go! Kości mu połamię!

Potter zbliżał się ku mnie. Podniosłem się wolno z krzesła. Nie zdążyłem jeszcze podejść, gdy do pokoju wbiegła Marta. Słyszając głos męża, przerwała śpiew, przybiegła natychmiast, stanęła między mną a współnikami i wyciągając ręce, rzekła:

— Ani kroku dalej! Obrażasz nie tylko mnie i moją cześć, ale i siebie samego!

— Idź precz! — krzyknął mąż. — Muszę się z nim rozmówić. A z tobą później się rozprawię!

— Nie ustąpię ani kroku! Spotkałam przypadkowo pana doktora i zaprosiłam go tutaj. Chcesz znieważać naszego gościa?

— Gościa? Gościa? — roześmiał się szyderczo. — Potter jest moim gościem. Jego zaprosiłem! Temu zaś znachorowi i gryziopiórkowi wybiję z głowy amory do ciebie. Potter, ruszaj! Zbijemy go na kwaśne jabłko! Idź precz, kobieto!

Chwycił ją za rękę, ale natychmiast puścił, albowiem przy nim stanął Winnetou. Jeden rozkazujący ruch Apacza wystarczył, aby obaj napastnicy cofnęli się o parę kroków.

— Który z was jest właścicielem tego domu? — zapytał Winnetou najczystsza mową angielską.

— Ja — odpowiedział Werner, z trudnością utrzymując równowagę.

— Jestem Winnetou, wódz Apaczów. Słyszałeś o mnie?

— Do diabła! Winnetou, Winnetou!!

— Tak, to moje imię. Słyszę, że je znasz. Ale nie wiem, czy znasz także moje cechy charakteru i czyny. Nie próbuj doświadczać ich na sobie. Słuchaj uważnie, co ci powiem! Tu oto stoi mój przyjaciel i brat, Old Shatterhand. Spotkaliśmy twoją żonę. Zaprosiła nas, więc przyszliśmy z nią tutaj. Zjedliśmy obiad i wysłuchiwałeś jej śpiewu. To wszystko. Nic innego się nie zdarzyło. Jeżeli za to jednak ją ukarzesz, nie minie cię zemsta Winnetou. Moja władza sięga aż do serca tego miasta, do najskrytszych zakamarków najgłębszych piwnic w najbardziej zapadłych domach. Każę cię śledzić. Szepnij tylko swej squaw złe słowo, a któryś z moich Apaczów odpowie ci nożem. Teraz wiesz zatem, czego sobie życzę. Jeśli nie usłuchasz, zginiesz niechybnie!

Potem sięgnął do pasa, wyciągnął monetę, i kładąc na stole, dodał:

— Oto zapłata za to, co zjedliśmy. Old Shatterhand i Winnetou nie chcą żadnych darów, albowiem są od ciebie bogatsi. Powiedziałem!

Werner nie śmiał nic rzec. Stał jak skarcony sztubak. Potter miał minę człowieka zgorszonego, ale można było poznać, że w głębi serca odczuwa zadowolenie. Położyłem rękę na jego ramieniu i zapytałem:

— Master, słyszał pan moje imię i wie, kim jestem?

— Tak — odpowiedział.

— Przejrzałem pańskie zamiary. Postępuj pan oględniej ze swoim współnikiem, inaczej nie będzie dla ciebie litości. Wrócę i rozprawię się z panem, ale nie według paragrafów waszych

ksiąg i aktów, tylko według surowych praw prerii. Pański wspólnik opowie panu o mnie. Niech pan nie myśli, że on mnie zgnębił, i nie sądzi, że będę wobec pana tak pobłażliwy, jak byłem wobec niego w Niemczech. Aby panu pokazać, że mówię całkiem poważnie, wycisnę pieczęć Old Shatterhanda na pańskich ramionach.

Prawą ręką objąłem jego ramię i ścisnąłem mocno. Wydał nie okrzyk, ale wręcz zawył. Zaraz potem wyszedłem wraz z Winnetou, nie oglądając się za siebie. Wsiedliśmy do windy. Za naciśnięciem guzika zjechaliśmy na dół i opuściliśmy pałac, który według moich przypuszczeń, miał wkrótce stać się domem niedoli.

Nazajutrz wyjechaliśmy z San Francisco, a po trzech miesiącach w Hole in Rock rozstaliśmy się na trzydzieści miesięcy. Winnetou zatrzymał mojego konia. Umówiliśmy się dokładnie co do miejsca i czasu przyszłego spotkania, jak to dotąd czyniliśmy zgodnie z naszym zwyczajem.

Parę miesięcy bawiłem w rodzinnym domu. Następnie wyruszyłem w świat, tym razem na Wschód, gdzie spędziłem dwadzieścia miesięcy. Po powrocie pograżyłem się w książkach i bardzo mało wychodziłem na spacer. Tylko raz na tydzień odwiedzałem towarzystwo śpiewacze, którego byłem i jestem dotychczas honorowym członkiem. To była wówczas jedyna moja rozrywka.

Którejś soboty siedzieliśmy po ćwiczeniach i naradzaliśmy się nad urządzeniem koncertu na cele dobroczynne, gdy do naszego pokoju wszedł gospodarz i zameldował:

— Dwaj obcy przyszli do pana.

— Któż to?

— Nie znam ich. Jeden jest młodym, bardzo przystojnym mężczyzną, drugi zaś kolorowy. Nie mówi nic, nie zdjął nawet kapelusza, a patrzył na mnie tak, że zrobiło mi się nieswojo.

— Szarlieh! — rozległo się spoza uchylonych drzwi. Skoczyłem na równe nogi. To Winnetou zwykł tak wymawiać moje imię!

I oto stał tutaj, za drzwiami! Winnetou, najznakomitszy wódz Apaczów w Dreźnie! Ach, jakże wyglądał ten niezwykły wojownik! Ciemne spodnie i ciemna przepasana kamizelka, krótki surdut, w ręce mocna laska, na głowie wysoki cylinder, którego nie zdjął. Opowiadał to wszystko w skrócie. Mogę chyba nie nadmieniać, że moje zdziwienie, ba, moje oszołomienie było nie mniejsze niż mój zachwyty.

Skoczyłem ku Winnetou, on zaś ku mnie. Padliśmy sobie w objęcia, ściskając się i całując jak bracia, po czym wybuchnęliśmy głośnym śmiechem, co się Apaczowi pierwszy raz zdarzyło. Wygląd jego Old Shatterhanda był tak potulny, a postać najmężniejszego wojownika Apaczów tak łagodna i śmieszna, że trzeba było nie lada opanowania, aby mć się powstrzymać od śmiechu.

Winnetou nie czekał powrotu gospodarza, tylko poszedł za nim. Teraz zbliżył się również drugi mężczyzna, który mu towarzyszył. Był to nie kto inny, tylko Franciszek Vogel, brat Marty.

Wszyscy obecni śpiewacy znali Winnetou z moich opowiadań. Jakież rozległy się okrzyki, gdy wymieniłem jego imię! Z początku nie chcieli wierzyć. Nie mogli sobie wodza inaczej wyobrazić, jak w znanym ubiorze ze srebrną strzelbą. Wiedziałem, dlaczego nie zdejmował cylindra, chował bowiem pod nim swoje obfite ciemne włosy. Kiedy go zdjął, włosy wypadły i okryły niby płaszcz ramiona i plecy Apacza. Teraz uwierzono, że jest to sam Winnetou. Wszystkie ręce wyciągnęły się ku niemu, a natchniony basista zawołał:

— Po trzykroć wiwat! — Pozostali spełnili wiwat radośnie i głośno.

Jakże często prosiłem dawniej Winnetou, aby pojechał ze mną do Niemiec lub mnie odwiedził. Zawsze nadaremnie! Skoro teraz przybył i to tak niespodzianie, musiał mieć wielce doniosłe powody. Widział, że jestem ciekaw, lecz kiwnął tylko głową i rzekł:

— Niechaj mój brat sobie nie przeszkadza. Poselstwo moje jest ważne, ale skoro upłynął tydzień, a nawet więcej, to może minąć jeszcze godzina.

— Jakże mnie znalazłeś?

— Wszak Winnetou nie jest sam. Młoda biała twarz, która nazywa się Vogel, przybyła ze mną i zaprowadziła mnie do twego mieszkania. Powiedziano, żeś poszedł tam, gdzie śpiewają, a ja chciałem usłyszeć śpiew. Więc jestem. Później wrócimy do twego mieszkania, gdzie dowiesz się, z jakiego powodu przeprowałem się przez wielkie morze.

— Dobrze. Będę cierpliwie czekał i z przyjemnością pozwalam ci posłuchać śpiewu.

Z radością zgodzono się spełnić życzenie Winnetou. Usiedliśmy wraz z Voglem przy odległym stoliku przy piwie, które Winnetou popijał bardzo chętnie, ale też bardzo umiarkowanie. Zaczęły się popisy, które szybko przemieniły się w koncert. Śpiewacy byli dumni z tego, że słucha ich tak słynny człowiek.

Mogło być koło północy, gdy Apacz oznajmił, że usłyszał już dosyć. Chętnie by go zatrzymano do rana, a może nawet i dłużej. Podziękował serdecznie śpiewakom i wyszliśmy.

Skoro przybyliśmy do domu, obejrzał się dokładnie dokoła, dotknął każdego przedmiotu i przymknął oczy, aby wbić sobie to wszystko głęboko w pamięć. Zdjąłem ze ściany dwie fajki pokoju, napełniłem i podałem mu jedną, Vogla poczęstowałem papierosem. Gdy następnie usiadłem z najlepszym, najwierniejszym i najszlachetniejszym moim przyjacielem na kanapie, rzekł po chwili:

— Przybyliśmy za sprawą pięknej białej squaw, którą odwiedziliśmy swego czasu w San Francisco.

— Ach, w sprawie Marty, pańskiej siostry? — zwróciłem się do Franciszka.

— Niestety, tak! — odpowiedział Vogel. — Nie opowiem panu nic pocieszającego. Przebywałem cztery miesiące w Ameryce.

— To niedługo.

— Tak, ale dla mnie nazbyt długo, Te miesiące były niczym lata całe, albowiem przyniosły mi tylko gorzkie rozczarowanie. Mój szwagier zbankrutował.

— A więc moje przewidywania... Jakże się rzecz ma z Potterem, jego współnikiem?

— Ten jest także, rozumie się, bankrutem.

— Nie sądzę. Ta pijawka wysała do szpiku kości pańskiego szwagra i schowała sobie jakąś znaczną sumkę. Czy to bankructwo ze szkodą wierzycieli?

— Nie. Nikt nie stracił grosza.

— Nikt nie stracił grosza, a jednak ogłoszono upadłość? A zatem cały majątek został w tak krótkim czasie roztrwoniony? Jakże to się stać mogło?

— Wskutek rujnujących spekulacji Pottera. Mój szwagier przekazał mu prowadzenie całego interesu.

— Można to było przewidzieć. Potter zbliżył się do pańskiego szwagra od razu z zamiarem zrujnowania go doszczętnie. Gdyby tak nie było, majątek nie stopniałby tak błyskawicznie. Rzekomo przepuścił wszystko na spekulacjach, ale istotnie nabił sobie tęgi trzos. Przypuszczam jednak, że można go będzie zdemaskować.

— Nie sądzę, gdyż w takim razie nie przebywałby w San Francisco, lecz ukryłby się na odludziu. Mój szwagier oczywiście stracił wszystko. Odebrał rodzinie resztki i przepija, wałęsając się od szynku do szynku. Z ostatnim groszem przepije rozum.

— A rodzina?

— Z rodziną jest bardzo źle. Kiedy przyjechałem do Ameryki, nikt się krachu nie spodziewał. Liczyłem na Wenera. Sądziłem, że dzięki jego pomocy zdołam się prędko wybić. Lecz po trzech tygodniach nastąpił krach. Byłem zbyteczną gębą do wyżywienia. Rodzice rozpaczali. Jedyne Marta zachowała równowagę ducha i myślała o środkach zaradczych. Pomagałem jej, strzeliła nam do słowa zbawienna myśl. Z początku wystarczyła gotówka, którą uzyskaliśmy ze spieniężenia zbędnych rzeczy. Pomyśleliśmy o panu. Gdyby pan był w Ameryce, to na pewno wspomógłby nas radą i uczynkiem. Ale, niestety, pana nie było. Wówczas Bóg sprowadził do naszego domu Winnetou.

— Jak to? Przyszedł do was do domu



— Tak.

— Niemożliwe! Po naszych przeżyciach w tym domu, nigdy bym nie sądził, że Winnetou jeszcze przestąpi jego próg.

— To był inny dom. Wyrzucono nas po prostu z pałacu, więc wynajęliśmy małe mieszkanie. Na szczęście Apacz przybył do San Francisco, przypomniał sobie o nas, dowiedział się o wszystkim i przyszedł pocieszyć. Wstydę się niemal powiedzieć: dał nam pieniądze. Nie chcieliśmy przyjąć, ale zapewnił, że wkrótce będziemy i stanie zwrócić mu pożyczkę. Zapowiedział, że rozmówi się z Potterem odtąd nie spuszczał go z oka. Lecz oto nadeszło pismo urzędowe z Nowego Orleanu, oznajmiające o śmierci naszego wujka, brata mojej matki.

— Aha, przypominam sobie. Pańska babka opowiadała niegdyś, że miała syna, który wyjechał do Ameryki i nie dawał znaku życia. Przypuszczała, że zginął po drodze.

— Tak jest. Ale nie umarł, był tylko wyrodnym synem. Umarł niedawno jako milioner. W każdym razie tak oznajmiły nam władze.

— Nie bardzo wierzę w takie bogactwo. Przekonał się pan, jaką ni wartość, gdy wpadnie w niewłaściwe ręce. Ale skąd władze z Nowego Orleanu znały wasz adres w San Francisco?

— Ze starych papierów i notatek nieboszczyka dowiedziano się o miejscu jego urodzenia, dokąd też następnie władze się zwróciły. Tam podano nasz obecny adres.

— No, więc jest rozwiązanie. Jeśli udowodnicie, że jesteście jedynymi spadkobiercami nieboszczyka i że zatem wasze prawa są bezsporne, wydadzą wam spadek bardzo szybko.

— Oby tak było! Ale sprawa ma pewien niuans. Jesteśmy jedynymi krewnymi, ale jednak chyba nie jedynymi. Nieboszczyk miał syna, który gdzieś podróżuje po świecie.

— Bardzo źle! Sprawa może ogromnie się przewlec. Trzeba w pismach wezwać syna i, jeśli się nie zjawi po upływie określonej ilości lat, będzie uważany za zmarłego. Trzeba, niestety, uzbroić się w cierpliwość.

— Tak, musimy czekać... Bodajby nam jednak wypłacili jakąś drobną część!

— To nie przejdzie. Wszystko albo nic.

— Szkoda! Ponadto należy dodać, że w Nowym Orleanie pewien adwokat zajął się sprawą syna. Jest to ponoć jego przyjaciel. Twierdzi, że spadkobierca żyje, albowiem towarzyszył mu w podróży bardzo obrotny i zaufany przyjaciel, który by na pewno, według zdania adwokata, wysłał wiadomość do Nowego Orleanu, gdyby tamtemu przytrafiło się coś złego, a tym bardziej gdyby umarł. Adwokat przedsięwziął zatem bardzo skrupulatne poszukiwania, na które sąd dał mu ileś tam czasu.

— To jeszcze bardziej przeciągnie sprawę. Jakże się nazywa z domu pańska matka?

— Jaeger.

— A więc milioner nazywał się Jaeger? Kim był właściwie?

— Z początku szewcem. Wywędrował jako czeladnik. W Nowym Jorku dorobił się sklepu, zresztą dzięki korzystnemu małżeństwu.

— Czeladnik szewski? Nowy Jork? Sklep? Bogate małżeństwo? Błysnęła mi myśl, strzeliło mi coś do głowy!

— Co takiego? Co takiego?

— Poczekaj no, pan, poczekaj! Muszę się zastanowić.

Podniosłem się z kanapy i chodziłem tam i z powrotem po pokoju. Myślałem o liście, który znalazłem ongiś w portfelu Meltona. Był napisany przez jego bratanka. Podeszedłem do biblioteki i wyjąłem z oznaczonej przegródki list.

— Tak, to się zgadzało! A zatem list dotyczy omawianego przypadku? Co za zbieg okoliczności! Musiałem się upewnić, więc zapytałem:

— Jaeger dorobił się sklepu z obuwem w Nowym Jorku? Czy nie był dostawcą wojskowym?

— Tak.

— I dostarczał nie tylko obuwie, ale również inne artykuły?

- Tak, tak! Zbił na tym miliony. Ale skąd pan wie o tym? Co za list trzyma pan w ręce?
- O tym później! Powiedz pan, czy Jaeger zawsze posługiwał się swym niemieckim nazwiskiem?
- Nie. Zamerykanizował je na Hunter.
- Dlaczego pan od razu nie powiedział!?! Dlaczego wymienił pan tylko niemieckie nazwisko?
- Myślałem, że to nie zmienia postaci rzeczy.
- O, bardzo, bardzo zmienia, wszystko nawet! Czy wie pan, jak się nazywał zaginiony syn?
- Tak. Small. Cudaczne imię, nieprawdaż?
- Tak, ale to państwu na rękę. Im dziwniej brzmi imię poszukiwanego, tym trudniej jest pomylić go z kim innym. A zatem — Small Hunter. Zaginął? I gdzie? Naturalnie, że na Wschodzie. Czyż nie tak?
- Tak, na Wschodzie! — zawołał zdumiony Vogel. — I to panu wiadomo, panie doktorze?
- I to również. Trafił pan na właściwego człowieka, kochany przyjacielu.
- Mówił to także Winnetou.
- Aha! Winnetou znalazł zapewne nikły ślad i przedsięwziął wszelkie środki, aby go nie stracić z oczu. Postaw pan wodza na tropie, a zobaczysz, że będzie niezmordowany i wykaże niedoścignione mistrzostwo.
- Więc ma pan jakiś ślad poszukiwanego?
- Tak. Ale uprzednio muszę zapytać: czy w piśmie urzędowym nie wymieniono miejsca jego zniknięcia?
- Owszem. Przypominam sobie. Znalaziono list, który wysłał do ojca z Kairu.
- To świetnie! Jak dawno był wysłany ten list?
- Nie było o tym wzmianki.
- Szkoda. Potrzebny nam czas pobytu Smalla Huntera w Kairze.
- Mieszkał w Hotelu du Nil i opisuje w liście znany tamtejszy ogród palmowy.
- Czy jeszcze coś przytoczono w liście?
- Nie... Ależ tak! Przypominam sobie. Prosi ojca, aby listy adresował do konsulatu amerykańskiego.
- To bardzo ważne, nader ważne! Mamy zatem trop! Znajdziemy poszukiwanego na pewno, ale, być może, już jako nieboszczyka.
- Uważa pan, że mógł umrzeć?
- Tak. A jednak zgłosi się po odbiór spadku.
- Nieboszczyk nie może zgłosić się po spadek!
- Czasem tak. Oczywiście w szczególnych okolicznościach, o których pan się dowie, skoro rozmówię się z Winnetou.
- Zaciekawia mnie pan niezmiernie!
- Nie chcę pana dręczyć i dlatego będę rozmawiał z Apaczem nie po indiańsku, ale po angielsku. Zrozumie pan?
- Bardzo dobrze. Od czasu wyjazdu mojej rodziny do Ameryki, zająłem się gorliwie studiowaniem angielskiego.
- Będę się więc posługiwał tym językiem, zamiast niemieckim, którego Apacz prawie nie rozumie. Rozmawialiśmy dotychczas po niemiecku, ponieważ nie zwracałem się bezpośrednio do wodza. Niech mi pan powie jeszcze, czy władze z Nowego Orleanu pisały do Kairu?
- Owszem. Władze, a także adwokat, o którym wspominałem.
- Jaka odpowiedź nadeszła?
- Jeszcze nie nadeszła. Było to niedawno.
- A zatem wiem wszystko, czegoś trzeba, aby panu służyć radą. Wszak po to pan do mnie przybył?
- Tak. Przyznaję otwarcie. Siostra powiedziała, że pan dobrze zna Wschód i...

Utknął w połowie zdania.

— I... mów pan dalej! — ośmieliłem go. — Skoro pan żąda ode mnie rady i pomocy, musi być całkowicie szczerzy.

— Sam pan dopowiedział, mówiąc o pomocy. Siostra wie, że pan zna Wschód, i sądzi, że jest pan właściwym, a może nawet jedynym człowiekiem, który wpadnie na trop Smalla Huntera żywego czy martwego.

— Hm. Jestem bardzo wdzięczny pańskiej siostrze za zaufanie, jakim mnie obdarza. A zatem mam nie tylko radzić, ale i pomóc? Czy rozumie pani znaczenie tego słowa w całej rozciągłości?

— Tak. Myśleliśmy o tym bardzo dużo. Wiem, że wymagamy od pana może zbyt wiele.

— Być może... nawet życia.

— Naprawdę?! — zawołał przerażony.

— Tak, życia. Ślad, który odkryliśmy, świadczy o zakrojonym na wielką skalę łotrostwie, które albo już zostało, albo dopiero będzie wprowadzone w czyn. Mężczyzna towarzyszący w podróży Hunterowi jest do niego podobny jak dwie krople wody. Przypuszczam, że to niezwykle podobieństwo może być przyczyną morderstwa, którego już dokonano lub dopiero zostanie dokonane.

— Przeraza mnie pan!

— Towarzysz podróży zamorduje Smalla Huntera, aby korzystając z podobieństwa, wystąpić jako Small Hunter i odziedziczyć jego spadek. Jest to przestępca, ojciec zaś jego i stryj, do którego list ten został wystosowany, są dwukrotnymi lub trzykrotnymi mordercami. Opowiem to panu później szczegółowo. Z całą stanowczością nie mogę jeszcze twierdzić o zabójstwie, ale znając dobrze tych łajdaków, wnioskuję, że na pewno w ten, a nie w inny sposób postarają się wykorzystać śmierć starego Huntera.. Ale teraz nade wszystko trzeba się porozumieć z Winnetou.

Apacz bardzo niewiele rozumiał z rozmowy, prowadzonej po niemiecku, lecz mimo to spoglądał na nas z uwagą. Z początku malował się na jego twarzy wyraz skupienia, ale z chwilą gdy przyniosłem list, zniknął, ustępując miejsca zadowoleniu.

Widząc, że zamierzam się do niego zwrócić, uprzedził mnie:

— Mój brat Old Shatterhand potwierdził moje przypuszczenia. Zaginiony biały wyjechał z bratankiem Meltona do miejscowości zwanych Wschodem.

— Winnetou dobrze nas obserwował. Nic się nie ukryje przed wnikliwością jego spojrzenia.

— Nie trzeba było szczególnej bystrości. Old Shatterhand w swoim czasie pokazał i przeczytał mi ten list. Zapamiętałem go sobie. Otóż przybyłem do San Francisco, aby zobaczyć piękną białą squaw, której mąż w swoim czasie tak ciężko nas obraził, że zagroziłem mu zemstą, jeśli znalazłbym jego kobietę w niedoli. Dowiedziałem się o jej nieszczęściu i — poszedłem pocieszyć. Obdarzyła mnie zaufaniem, albowiem jestem twoim przyjacielem i bratem, Opowiedziała mi wszystko. Przeczytała także urzędowe pismo z Nowego Orleanu. Pismo prócz nazwiska Hunter zawierało jeszcze inne informacje, zgodnie z treścią znajdującego się w twoim posiadaniu listu. A zatem łatwo było wpaść na właściwy ślad. Biała squaw ma do ciebie zaufanie, przeto postanowiłem jej pomóc. Ty jeden jesteś człowiekiem, który może tą sprawą pokierować, dlatego przyjechałem do ciebie. Zabrałem ze sobą tego młodego człowieka, gdyż zna okoliczności sprawy i władza nie znaną mi mową twojej ojczyzny. Jaki jest obecnie tok myśli mojego brata?

— Jonatan Melton pisze, że wykorzysta swoje podobieństwo do Smalla Huntera. Jak sądzi Winnetou, na czym będzie polegała ta korzyść? Czy na fałszerstwach i oszustwach?

— Nie. Small Hunter umrze, jeśli nie przybędzie na czas wybawca.

— Ja również jestem o tym przekonany. Jonatan Melton podszyje się pod jego osobę i zgłosi po spadek. Natychmiast powinien wyjechać do Kairu ktoś zaufany i odważny, aby zasięgnąć wieści w konsulacie, a następnie wytropić ślad zaginionego.

— Pan jest tym człowiekiem! — wtrącił Vogel, chwytając mnie za rękę. — Niech pan jedzie, niech się pan śpieszy, dopóki nie jest za późno!

— Hm... Sprawa interesuje mnie ogromnie. Ale czy sądzi pan, że ja tu po to siedzę, aby na pierwsze lepsze zawołanie rzucić swoją pracę i ścigać przestępcę na Wschodzie?

— Błagam pana!... Jeśli pan ocali Smalla Huntera, zostanie pan przez niego sownie wynagrodzony! Jeśli zaś Hunter nie żyje, a pan zdemaskuje jego sobowtóra, to jesteśmy gotowi wypłacić panu część spadku!

— Uff! — zawołał gniewnie Apacz. — Old Shatterhand nie przyjmuje wynagrodzenia, a zresztą żaden człowiek takiej wyprawy nie zdoła opłacić!

Załągodziłem napiętą sytuację, oświadczając:

— Niech się pan uspokoi, od samego początku byłem gotów natychmiast wyruszyć do Kairu, gdyby nie to, że pewne sprawy zatrzymują mnie tutaj przez dzień jutrzejszy i następny.

Teraz objawiła się cała delikatność ducha i szlachetność umysłu Winnetou:. Dobrze mi znanym ruchem położył rękę na pasie i rzekł:

— Winnetou prosi Old Shatterhanda, aby nie zważał na żadne przeszkody. Jaka jest droga do Kairu?

— Stąd koleją do Brindisi, a następnie okrętem do Aleksandrii.

— Jak długo jedzie się koleją i kiedy wypływa okręt?

— Okręty kursują regularnie w określonych dniach tygodnia. Jeśli się jutro stąd wyruszy, a pojutrze będzie w Brindisi, to już następnego dnia można żeglować.

— A więc jedziemy jutro. Howgh! Spodziewałem się tego. Winnetou nie przyjechał wszak po to, aby mnie wysłać do Afryki, a samemu wrócić na prerie. A jednak zaintrygował mnie stanowczy ton, jakim wypowiedział zdanie. Zapytałem:

— Lecz Winnetou jedzie do zupełnie nie znanego sobie kraju?!

— Za to brat mój zna ten kraj wyśmienicie. Niech nie wzbrania mi tej podróży. Czy nie opowiadałeś po stokroć, coś widział w tamtych stronach, i czy nie mówiłeś, że pragnąłbyś, abym zwiedził je wraz z tobą?

— Tak.

— Twoje życzenie teraz się spełni. A zatem nie sprzeciwiaj się temu.

Wódz Apaczów w Kairze! Co za myśl! Chyba nic podobnego się jeszcze nie zdarzyło. Cieszyłem się przede wszystkim dlatego, że będę jego przewodnikiem w podróży, i że będzie mi pomocny w rozwiązywaniu nieprzewidzianych komplikacji. I wreszcie dlatego, że — i to była rzecz chwilowo najważniejsza — że położył rękę na pasie. Moja sytuacja finansowa nie przedstawiała się tak korzystnie, abym mógł w każdej chwili rozporządzać dosyć znaczną sumą, potrzebną do podróży. Ręka Winnetou na pasie wskazywała, że jest tam dosyć potrzebnych pieniędzy.

Radości Vogla, gdy się dowiedział o naszej decyzji, nie da się opisać. Od nowa zaczął zastanawiać się nad spadkiem, aż musieliśmy go skarcić. Wreszcie wysłałem go do hotelu. Apacz zaś, rozumie się, spał u mnie. Postanowiliśmy wyjechać niezwłocznie rannym pociągiem. Nie sprawiało to nam szczególnego kłopotu, gdyż zawsze wszystkie rzeczy, niezbędne do podróży mamy pod ręką.

Voglowi starczyło pieniędzy, aby wrócić do San Francisco. Pożegnał się z nami na peronie. Otrzymał wskazówki, jak on i jego rodzina mają się zachować w różnych okolicznościach, jeszcze tego samego dnia wyprawił się za ocean.

## EMERY BOTHWELL

Ogromnie bawiło mnie powszechne zaciekawienie osobą Apacza. Nie waham się powiedzieć, że na pierwszy rzut oka mógł uchodzić za tuzinkowego wagabundę. Ale kto przyjrzał się jego postawie oraz szli chętnym, dumnym i niewzruszonym rysom jasno — brązowej twarzy, ten czuł, że nie ma przed sobą przeciętnego człowieka.

Pomijam milczeniem drobne przygody, czasem nawet bardzo interesujące i zabawne, które nam się przytrafiły w drodze, gdyż nie należą do niniejszej opowieści. Stwierdzą tylko, że mimo indiańskiej powściągliwości Winnetou nie mógł wyjść z podziwu, tyle bowiem nowych, nieznanych i niespodziewanych zjawisk oglądał. W Aleksandrii kupił strój arabski, w którym było mu do twarzy, ale w którym nie czuł się dobrze.

Po przybyciu, do Kairu zgłosiliśmy się natychmiast do Hotelu du Nil, gdzie mieszkał wcześniej Small Hunter. Ale przed trzema miesiącami wyjechał. To odpowiadało informacjom, uzyskanym w amerykańskim konsulacie, gdzie z kolei dowiedzieliśmy się jeszcze czegoś nowego. Powiedziano nam, że listy do Smalla Huntera wysyłano z początku do Aleksandrii, a następnie zaś do Tunisu, na adres kupca Musaha Babuama.

Postanowiliśmy zatem wyjechać z Kairu do Tunisu już nazajutrz rano, nie można było bowiem tracić czasu. Wprawdzie uspokajano nas zapewniając, że Small Hunter miał się wścymienie i że był w bardzo serdecznych stosunkach z towarzyszem podróży.

— Podobieństwo ich obu — mówiono — było istotnie uderzające, tym bardziej że ubierali się jednakowo.

Wieczorem przespacerowaliśmy się do Hotelu d'Orient, w którym ongiś mieszkałem. Po prostu nieświadomie zwiedza się miejsca, w których się kiedyś bywało. W jasno oświetlonym ogrodzie usiedliśmy przy stoliku, aby się napić lemoniady. Zwracaliśmy powszechną uwagę, gdyż Winnetou nosił włosy rozpuszczone, swobodnie układające się na plecach.

Było sporo stolików. Siedziało przy nich mnóstwo ludzi, rozkoszujących się chłodnym powietrzem wieczoru. Na widok nasz podniósł się z krzesła jakiś pan w muzułmańskim stroju. Zbliżał się powoli, nie spuszczać nas z oczu. Nie zwracałem na niego większej uwagi. Naraz naciągnął kaptur swego jasnego burnusa na pół twarzy, podszedł do nas i kładąc mi dłoń na plecach, powitał w pięknej mowie Indian szczepu Tehua.

— Oseng—ge tah, mo Old Shatterhand!

Znaczy to mniej więcej: Dobry wieczór Old Shatterhandzie! Następnie położył rękę także na ramieniu Apacza i powtórzył powitanie, zmieniawszy tylko imię:

— Oseng—ge tah, mo Winnetou.

Arab znał więc nas dobrze. Skoczyłem żywo, zdumiony, i zapytałem w tym samym narzeczu:

— Toh—ah oh sse? Kim jesteś, człowieku?

Odezwał się po angielsku:

— Poznajże nareszcie, stary pogromco lwów! Jestem naprawdę ciekaw, czy mnie poznasz po głosie.

— Emery, Emery Bothwell! — zawołałem, zsuwając mu z twarzy kaptur, i objąłem go serdecznie. Przycisnął mnie do potężnej klatki piersiowej i rzekł wzruszonym głosem:

— Od dawna, od bardzo dawna myślałem o tobie, mój stary druhu. Nigdzie cię jednak nie mogłem spotkać. Teraz znów omal żeś mi się nie wymknął z tego błogosławionego ogrodu. Tak chciał kismet\*, ale ja także mam swoją wolę, życzylibym sobie, abyśmy się zbyt szybko tym razem nie rozstali. Czy przystaniesz na to, druhu?

— Z przyjemnością, drogi przyjacielu. A zatem od razu nas poznałeś?

---

\* U muzułmanów (głównie tureckich) los przeznaczony człowiekowi

— Ciebie natychmiast, ale wodza nie od razu. Któż mógłby się spodziewać, że ten strój okrywa najsłynniejszego wojownika Apaczów? Któż mógłby wyobrazić sobie Winnetou w odległym Kairze? Jestem tak zdumiony, że nie uwierzyłbym, gdybym nic zobaczył na własne oczy. Niezwykła i ważna musi to być sprawa, która skłoniła wodza, aby zamienił Liano Estacado na Pustynię Libijską i Góry Skaliste na zamierzchły Mokattam.

— Istotnie ważna. Przysiądź się do nas, a wkrótce się dowiesz.

Kazałem kelnerowi przynieść sorbet i krzesło. Emery zajął miejsce przy naszym stoliku.

Kto mógł przypuścić, że spotkam dziś tutaj mego dobrego, odważnego i niezwykłego przyjaciela z Sahary i prerii! Miałem wszelkie powody, aby się cieszyć z tego spotkania. Szczególnie zaś byłem zadowolony, że spotkałem Bothwella w obecnej sytuacji. Emery zawsze mógł rozporządzać swoim czasem, toteż nie wątpiłem, że przyłączy się do nas bez wahania. Chodziło o to, aby odnaleźć zaginionego, a nawet wykryć lub zapobiec zbrodni, co stanowiło dla tego poszukiwacza przygód nie lada gratkę. Posiadał wszystkie zalety uczestników tego rodzaju wypraw; po prostu nią mógłbym sobie wymarzyć lepszego — towarzysza. Gdziekolwiek bądź ukryliby się złoczyńcy, mając przy boku i Winnetou, najsłynniejszego na Zachodzie tropiciela śladów, i Emery'ego, prawie równie głośnego Behluwan-beja algierskiej pustyni, wy dostałbym ich spod ziemi.

Emery'ego bardzo zdziwiła obecność Winnetou w Kairze. Zrozumiał w lot, że tylko niezwykle powód mógł skłonić Apacza do tej podróży. Winnetou na jego miejscu nie pytałby, tylko cierpliwie czekał na wyjaśnienie. Emery był białym i dlatego nie ukrywał swej ciekawości. Ledwo usiadł, zaczął nas ciągnąć za języki, zadając wiele rozmaitych pytań:

— Czy to być może? — zawołał. — Wybieracie się do Tunisu? Bo ją także!

— Kiedy?

— Kiedy wam się spodoba.

— Doskonale! A więc pojedziemy razem. A ty w jakim celu tam jedziesz?

— Co za pytanie! Przygoda. A wy?

— Sądzę, że i my doznamy przygód. Przypuszczam, że jakiś określony powód sprowadza cię do Tunisu?

— Słusznie. Powód, któremu na imię Small Hunter.

— Uff! — zawołał Apacz. Nazwisko Huntera tak go zelektryzowało, że nie mógł powstrzymać się od okrzyku.

— Small Hunter? — zapytałem ; szybko. — Czy to możliwe? Czy go znasz?

— Tak. Ale ty również, jak widzę?

— Nie. Natomiast szukam go w Tunisie.

— Jesteś na złym tropie. Small przebywa w Egipcie, ściślej mówiąc w Aleksandrii.

— Właśnie stamtąd przyjechaliśmy. Gdybyśmy wiedzieli!... Poinformowano nas, że Hunter przed trzema miesiącami wyjechał do Tunisu.

— Bzdura! Przebywa jeszcze tutaj.

— Wszak kazał przysyłać listy do Tunisu, dokąd też zostały skierowane.

— Cóż z tego? Small bawi jeszcze tutaj, ale zamierza wyjechać i to ze mną. Oczekuje mnie właśnie w Aleksandrii.

— A zatem spotykałeś się z nim poprzednio?

— Pytania, ciągle pytania! Czy mam ci opowiedzieć wszystko?

— Chętnie wysłucham.

— Dobrze, ale to potrwa krócej, niż sądzisz. Spotkaliśmy się w Neghileh i zrobiliśmy dwumiesięczną wycieczkę do Berd Ain. Obecnie Hunter musi jechać do Tunisu, ja zaś pragnę mu towarzyszyć. Do Kairu wstąpiłem tylko po pieniądze. Hunter czeka na mnie w Aleksandrii.

— I po to tylko, aby mu dotrzymać towarzystwa, jedziesz do Tunisu?

— Nie. I tak bym pojechał. Poznałem wraz z tobą Saharę wschodnią, teraz poznałem Egipt, chciałbym więc zwiedzić leżący między nimi Tunis oraz Trypolis.

— Ach, tak! Kto jeszcze towarzyszył Hunterowi?  
 — Nikt.  
 — Istotnie nikt? Wszak miał towarzysza podróży Jonatana Meltona?  
 — Nie znam takiego. Nie widziałem go.  
 — Czy Hunter nie opowiadał o nim?  
 — Ani słowa.  
 — Hm! To dziwne. Ale chyba opowiadał o sobie?  
 — Także nie. Zresztą nie pytałem o to.  
 — Przecież nie podróżuje się z człowiekiem nieznanym?!  
 — Nieznajomym? Hunter wygląda bardzo przyzwoicie. Jak się przekonałem, od dłuższego czasu przebywa na Wschodzie. Czego więcej potrzeba?!  
 — Zdaje się, że znam go lepiej od ciebie, aczkolwiek nigdy go nie widziałem. Poszukujemy go. Powinien wrócić do ojczyzny, czeka go tam olbrzymi spadek. Jego ojciec umarł. W jakim hotelu mieliście się spotkać w Aleksandrii?  
 — Hunter mieszka prywatnie. Jedźcie do Tunisu, aby odwiedzić przyjaciela Kalafa Ben Urika, który jest kolorasim\* tuniskiego wojska.  
 — Kalaf Ben Urik? Dziwne nazwisko! Ani Arab, ani Mauretańczyk, ani Beduin nie może się tak nazywać; Brzmi jak pseudonim.  
 — Cóż cię to obchodzi? :  
 — Więcej niż sądzisz. A może wiesz, ile lat ma Kalaf Ben Urik?  
 — Jest to starszy jegomość. Hunter napomknął o nim przypadkowo. Nadmieniał także, że będę mógł się rozmówić z nim po angielsku.  
 — Po angielsku? Czy możliwe, aby kapitan tuniski władał angielskim?  
 — Jest to podobno cudzoziemiec Hunter opowiadał, że kolorasi przecię ośmiu laty przybył do Tunisu i prze szedł na islam.  
 — Ale skąd przybył?  
 — Nie wiem. Skoro włada angielskim, jest zapewne moim ziomkiem.  
 — Anglikiem? Raczej uważałbym go za Amerykanina, ponieważ Hunter który jest Jankesem, zna go i cha odwiedzić.  
 — Być może. Tym lepiej! Byłbym zgorszony, gdyby innowierca urodził się w starej Anglii. Ale co ty za miny stroisz? Nad czym medytujesz? Zawsze, kiedy się nad czymś zastanawiasz, miewasz takie przenikliwe spojrzenie.  
 — Tak, być może, jestem na tropie i to niezwykle interesującym. Na bardzo ważnym. Powiedz mi tylko jedno: Hunter nic ci nie wspominał o swoich sprawach osobistych? Czy nie napomynał o kimś jeszcze z Tunisu, z kim utrzymuje jakieś stosunki?  
 — Tak. Poleciał przysyłać listy do jakiegoś mężczyzny.  
 — Czy wiesz, jak się nazywa?  
 — Jest to kupiec i, jeśli się nie mylę, nazywa się...Hm, jakże się nazywa?  
 — Musah Babuam?  
 — Tak, istotnie, tak się nazywa! Ale dlaczego wypytujesz o szczegóły, na które zwykle nie zwraca się uwagi?  
 — Ponieważ te szczegóły mogą doprowadzić mnie do bardzo ważnych wniosków. Zdaje mi się, że Hunter jest oszustem.  
 — O-szu-stem? — zapytał Emery w najwyższym stopniu zdziwiony. — To jest niemożliwe!  
 — Nie tylko możliwe, ale nawet wielce prawdopodobne.  
 Winnetou nie wtrącał się do rozmowy, aczkolwiek znając angielski, rozumiał wszystko. Teraz jednak rzekł zdecydowanym tonem:

---

\* Kapitan.

— Mój brat Old Shatterhand jest na właściwym tropie. Ten Small Hunter nie jest prawdziwym Smallem Hunterem.

— Nie jest prawdziwym? — zapytał Bothwell. — Sądzicie, że to nie jest jego nazwisko?

— Tak uważamy — odpowiedziałem. — Właściwie nazywa się Jonatan Melton.

— Wymieniłeś już to nazwisko w związku z jego towarzyszem podróży!

— Owszem. Twój Hunter jest właśnie towarzyszem podróży człowieka, pod którego nazwisko się podszywa.

— Wyrażasz się zagadkowo! Wytłumacz mi to, proszę.

Opowiedziałem Emery'emu to, co uważałem za konieczne, pomijając szczegóły. Słuchał mnie z coraz bardziej wzrastającą uwagą, a kiedy skończyłem, wyraził niezadowolenie z pobieżnego ujęcia opowiadania. Musiałem je więc powtórzyć ze wszystkimi drobiazgami, począwszy ód poprzedniej podróży po Meksyku, aż do dnia dzisiejszego. Gdy skończyłem, siedział przez jakiś czas zamyślony i milczący. Wreszcie podniósł głowę i rzekł z błyskiem w oczach:

— Ta podróż do Tunisu będzie nader interesująca, albowiem znajdujesz się na wspólnym tropie. Mój mister Hunter jest nikim innym, tylko Jonatanem Meltonem, towarzyszem podróży Huntera.

— Z czego to wnosisz?

— I ty pytasz? Aha, chcesz wystawić na próbę moją przenikliwość!

— A czy wiesz, kim jest kolorasi, tuniski kapitan?

— Tomaszem Meltonem, którego ścigałeś dziewięć lat temu z fortu Uintah aż do fortu Edwarda. Od ośmiu lat przebywa w Tunisie, a zatem brak roku, który strawił na uczeniu się arabskiego, aby móc zaciągnąć się do wojska. Jak sądzisz, jest to prawdopodobne?

— Podzielam twoje zdanie.

— Dlaczego jednak rzekomy Hunter polecił przysłać listy do kupca, a nie do kolorasiego, którego wszak zna lepiej?

— Ponieważ jest Meltonem, a nie Hunterem. Prawdziwy Hunter nie zna kolorasiego. Polecił skierowywać listy do kupca, którego odwiedzi w Tunisie. Lecz dalej! Dlaczego Hunter mieszka w Aleksandrii prywatnie, a nie w hotelu?

— Ponieważ nie chce być widzianym. Chce pozostać w ukryciu.

— A dlaczego przebywa w Egipcie, podczas gdy tutaj wszyscy od trzech miesięcy przypuszczają, że wyjechał do Tunisu?

— Ponieważ podszywa się pod prawdziwego Huntera, który istotnie wyjechał do Tunisu.

— Oczywiście! Tu w Egipcie nie chciał uchodzić za Huntera, pragnął pozostać w ukryciu. Zawarcie z tobą znajomości było z jego strony wielką nieroztropnością, k»rej niebawem gorzko będzie żałował.

— Ale dlaczego tutaj pozostał? Dlaczego wyprawił właściwego Huntera samego do Tunisu?

— Czy nie widzisz powodu?

— Nie bardzo.

— Przyjmuję za rzecz pewną, że Melton dowiedział się o śmierci starego Huntera i że powziął myśl, zresztą już dawno, zagarnięcia spuścizny po zmarłym. Do osiągnięcia tego celu miało posłużyć niezwykle podobieństwo do młodego Huntera. Należy również przypuścić, że Melton nauczył się podrabiać charakter pisma swego towarzysza. Na wiadomość o śmierci starego Huntera usunął Smalla z drogi, wysyłając go pod byle jakim pretekstem do Tunisu, do kolorasiego, czyli mówiąc inaczej, do swego ojca Tomasza Meltona. Teraz zaś podąża za ofiarą, aby ostatecznie wejść w jej prawa, a następnie pojechać do Ameryki i zagarnąć spadek. Tak twierdzą i sądzę, że się nie mijam z prawdą.

— Mój brat Old Shatterhand ma słuszość — potwierdził Winnetou. Emery zaś rzekł:

— Wobec takiego przedstawienia sprawy można tylko podzielać twoje zdanie. Ale czy możliwe są tak piekielne plany?



— Pomyśl o Harrym Meltonie, którego nazwałem szatanem. Opowiadałem ci o nim dosyć. Czy nie wymyślił równie, a nawet bardziej piekielnego planu i czy nie wprowadził go w czyn? Istnieją, mój Boże, ludzie, którzy są ludźmi tylko z nazwy, do takich należą trzej Meltonowie: ojciec, syn i stryj.

— Masz rację! A zatem naszym obowiązkiem jest ratować młodego Huntera o ile to jeszcze możliwe. Ale jak?

— Szybką akcją. Nie możemy liczyć na nikogo, nawet na władze. Musimy działać sami.

— A zatem jedziemy do Tunisu?

— Tak. Młodego Meltona mamy w garści. Przypuszczam, że nietrudno będzie schwytać jego ojca.

— Musimy tylko działać roztropnie.

— Co się tego tyczy, sądzę, że nie trzeba być nawet szczególnie szcwanym, wystarczy mieć dobre chęci.

— Ale bez przychylności władzy tuniskich niczego nie dopniemy.

— Władze nie odmówią żadnej pomocy, skoro o nią poproszę.

— Ach — uśmiechnął się Emery — czy wypiełeś bruderszaft z Mohammedem es Sadok–baszą?

— Nie. Ale znam bardzo dobrze Pana Zastępów.

— Pan Zastępów? Któż to taki?

— Tak nazywają mego przyjaciela Krüger–beja, albowiem jest naczelnikiem straży czy gwardii przybocznej.

— Krüger? To nie tuniskie, to niemieckie nazwisko!

— Ponieważ Krüger jest Niemcem z pochodzenia. Ten człowiek ma przeszłość taką, że żaden pisarz nie wymyślił bardziej fantastycznej. Jest tak, jak się mówi: samo życie jest najpłodniejszym powieściopisarzem. Nie można się niczego dowiedzieć od Krüger–beja o jego dziwnych przeżyciach. Przy puszcza, że pochodzi z Brandenburgii i że był parobkiem w browarze Przez jakiś czas włóczył się po Francji później wstąpił do Legii Cudzoziemskiej, z której uciekł w Algierze. Przybył do Tunisu, gdzie był służącym. Dzięki zręczności dostał się do wojska, awansował, wstąpił do gwardii przybocznej i w krótkim czasie został naczelnikiem tej straży. Mohammed es Sadok–basza obdarza go całkowitym zaufaniem.

— A zatem jest to dobry żołnierz?

— Tak, żołnierz — chwyt, wierny urzędnik i dobry człowiek. Skoro poznasz Krügera, na pewno nabierzesz do niego zaufania, a jednocześnie zabawisz się jego kosztem.

— W jaki sposób?

— Pomieszał swe obecne wierzenia z dawnymi, biblię z koranem, w sposób naprawdę pocieszny. Ale największym „arcydziełem” jest jego język niemiecki. Ponieważ władasz niemieckim, więc będziesz się wyśmienicie bawił. Krüger odebrał tylko najniezbędniejszą edukację szkolną. We Francji nauczył się nieco słów francuskich, a w Algierii i Tunisie opanował arabski. Ale jego zdolności językowe nie wystarczają, aby utrzymać czystość każdego z trzech języków, a tym bardziej, aby pojąć różnicę budowy zdań, toteż składnia Krüger–beja jest zabawnym konglomeratem lingwistycznym. Rozmawiając jednak stale po arabsku nie tylko nie popełnia w nim błędów, lecz na domiar przyswoił sobie niezwykle obrazowy i wschodni styl. Natomiast po niemiecku rozmawiał tylko we wczesnej młodości, i i to błędnie, a zatem możecie sobie wyobrazić, jak kaleczy swój język ojczysty. Mowa jego jest źródłem nieustannych żartów, ale w chwilach niebezpieczeństw, kiedy trzeba się wyrażać krótko i jasno, stanowi prawdziwą zaletę.

— Ten Krüger–bej, czyli... Hm, jakże go nazwałeś poprzednio?

— Panem Zastępów. Tak nazywa sam siebie. Po arabsku brzmi to: Rajjis el Dżijusz. Skoro trzeba będzie odwołać się do władz arabskich, co być może nastąpi, poproszę beja o pomoc Mam nawet zamiar odwiedzić go wcześniej i jestem przekonany, że ucieszy się z tej wizyty.

— Czy chcesz Krüger–bejowi od razu przekazać rzekomego Huntera?

— To nie jest konieczne.

— A może jednak? Jeżeli ten oszust przejrzy nasze zamiary, spróbuje natychmiast dać drapaka. W takim razie trzeba go będzie zatrzymać w więzieniu, dopóki nie schwytamy jego ojca, Kalafa Ben Urik.

— Nie dopuścimy, aby przejrzał nasze zamiary.

— No tak, względem mnie jest usposobiony przyjaźnie. Ale kiedy się dowie przypadkowo, kim wy obaj jesteście? Wiadomo wszak, jaką rolę odgrywa przypadek.

— Byłby to zaiste niepojęty przypadek, gdyby wyszło na jaw, że jesteśmy Old Shatterhand i Winnetou.

— Musicie przybrać inne nazwiska. Należałoby natychmiast się umówić. Czym wcześniej się do nich przyzwyczaimy, tym mniejsza obawa, że możemy się wygadać.

— To prawda.

— Dobrze. Czy chcesz uchodzić za mego ziomka? — zapytał Emery.

— Owszem, jeśli pozwolisz.

— Wyśmienicie! Jesteś więc moim krewnym, niejakim Mr. Jonesem, którego spotkałem przypadkowo, a który ma w Tunisie interesy. A Winnetou? Kim będzie Winnetou?

— Będzie musiał raz w życiu uchodzić za Afrykańczyka — odparłem. — Uważajmy go za muzulmańskiego Somalijczyka, imieniem Ben Asra.

— Cudownie. Ale czy Winnetou się godzi?

Na to odezwał się Apacz:

— Nazywajcie Winnetou, jak wam się podoba. Zawsze zostanie wodzem Apaczów.

— Słusznie — odpowiedziałem. — Ale jest to rzecz nader ważna, za kogo cię będziemy uważać. Wszak musisz się postarać, abyś istotnie za takiego uchodził. W drodze wyjaśnię ci szczegółowo, kto to jest Somalijczyk i jak powinieneś się zachowywać. Przyjmujemy, że nie znasz arabskiego, co nie mija się z prawdą, ale że przebywałeś kilka lat w Indiach Wschodnich i nauczyłeś się angielskiego. Kiedy stąd wyjeżdżamy?

— Jutro rano — odpowiedział Emery. — Przyjedziemy do Aleksandrii nieco wcześniej, niż oczekiwany przez Huntera okręt.

— Cóż to za okręt?

— Francuski parowiec handlowy.

— To mnie dziwi. Musiano się więc z Tunisu porozumieć z Hunterem w sprawie tego parowca.

— Tak sędzę. Może się jeszcze czegoś — dowiemy.

— Ale Winnetou i ja chyba będziemy musieli się wylegitymować przed kapitanem.

— Pozostaw to mnie! Skradziono wam w podróży dokumenty, sędzę zatem, że wystarczy, abym okazał swój paszport i dał za was poręczenie.

— Jestem bardzo ciekaw, jak się Hunter wylegitymuje. Wszak prawdziwy i uprawniony posiadacz tego nazwiska, jeśli się nie mylimy, musi zabrać ze sobą do Tunisu swoje dowody osobiste?

— Zobaczymy. Rzecz najważniejsza, abyśmy nie wzbudzili podejrzania. Pamiętaj, że byłeś w Indiach Wschodnich i spotkałeś się tam z bogatym Somalijczykiem, Benem Asra. Ten zmierzacie do Londynu, gdzie Somalijczyk pragnie nawiązać stosunki handlowe, po drodze zaś wstępujecie do Tunisu, gdzie musisz załatwić parę interesów. Tak się sprawy mają na dziś. Na resztę trzeba czekać.

Siedzieliśmy jeszcze przez chwilę w ogrodzie, po czym rozstaliśmy się, aby nad ranem wyruszyć w podróż.

## W TUNISIE

Zbędna jest relacja z podróży do Aleksandrii. Krótko mówiąc, przyjechaliśmy i zatrzymaliśmy się w hotelu, po czym Bothwell poszedł do Huntera. Przypuszczaliśmy, że oszust niechętnie się odniesie do nowych towarzyszy podróży, ale okazało się, że wręcz przeciwnie, wyraził zadowolenie z naszego towarzystwa, nawet przybył do nas wraz z Emerym.

Skoro po długim rozważaniu dojrzeła we mnie jakaś myśl, trzymam się jej, dopóki się nie przekonam, że nie są to jedynie pozory. Gdybym posiadał mniej zdecydowany charakter, być może, iż ujrzawszy tego człowieka, zrzekłbym się podejrzeń, które żywiłem względem niego. Wywierał istotnie korzystne wrażenie. Nie dziwiłem się, że Emery nazwał go przyzwoicie wyglądającym panem. W twarzy, w postaci, w całym zachowaniu niepodobna było odkryć najmniejszych śladów, które mogłyby potwierdzić nasze podejrzenia. Był swobodny, szczerzy, nie objawiał jakiegokolwiek niepewności czy niepokoju — niepokoju, który cechuje człowieka, nie stojącego na pewnym gruncie. Może więc myliliśmy się co do jego osoby, albo też był wyjątkowo przebiegłym i dobrze grającym swą rolę oszustem.

Parowiec, którego oczekiwaliśmy, przybył z Palestyny. Z Aleksandrii miał się udać poprzez Tunis i Algierię z powrotem do Marsylii. Zaledwie wsiedliśmy na pokład, zwrócił się do nas kapitan:

— To nie jest pasażerski parowiec, panowie. Musicie więc wrócić na ląd.

Teraz miało się okazać, czy kapitan był uprzedzony. I rzeczywiście, Hunter bowiem odparł:

— A nie przyjmie pan pasażera, który nazywa się Hunter?

— Hunter? Czy to pan?

— Tak.

— W takim razie może pan jechać, gdyż polecił mi pana Kalaf Ben Urik. Ale mówił tylko o panu, nie wspomniał zaś o innych pasażerach.

— Ci panowie są moimi przyjaciółmi. Kalaf Ben Urik nie wiedział, że się do mnie przyłączą. Będzie jednak, panu niezmiernie wdzięczny, jeśli i dla nich znajdzie się miejsce.

— Musiałbym się zastanowić, gdyż byłem przygotowany tylko na przyjęcie pana. Ale uczynię to dla Kalafa Ben Urik i zabiorę wszystkich panów.

Francuski kapitan utrzymywał więc stosunki z tuniskim kolorasim. Zdawało się, że ten kolorasi w ogóle nawiązywał stosunki, których nie wymagało bynajmniej jego służbowe stanowisko i prowadził rozmaite interesy, nie zawsze czyste. Bo też z jakiego innego powodu kapitan handlowego parowca był winien wdzięczność oficerów wojsk tuniskich? Ta okoliczność umocniła mnie w podejrzeniach, które uprzednio powziąłem wobec Kalafa Ben Urik i spotęgowała nieufność do pozornie uczciwego i prawego wyglądu quasi-Huntera.

Dostaliśmy dwie małe kajuty. W każdej były miejsca na dwie osoby. Zachodziło pytanie, kto będzie towarzyszem Huntera? Porozumieliśmy się w kilku słowach. Postanowiłem zostawić wybór Hunterowi. Jego rozstrzygnięcie miało być dla nas wskazówką.

Z początku złożyliśmy bagaż w jednej kajucie, lecz gdy podniesiono kotwicę, rozmieściliśmy się wygodnie na pokładzie. Siedzieliśmy pod nakryciem płóciennym pałac i gwarząc o rozmaitych rzeczach. Nietrudno było zauważyć, że Hunter przyglądał się nam uważnie. Znał już dobrze Emery'ego, lecz chciał także poznać mnie. Nadskakiwałem mu, jak potrafiłem, chciałem bowiem Jonatana pozyskać grzecnością. Byłbym bardzo zadowolony, gdyby mnie wybrał na współlokatora kajuty, gdyż wtedy mógłbym go łatwiej obserwować. Moje zachody; zdawało się, były płonne, gdyż ilekroć Spoglądałem na niego zniechęca, przyłapywałem badawcze wpatrzony we mnie jego oczy, które natychmiast odwracał. Wiedziałem, że mój wygląd zasługuje na zaufanie. Nieufność, którą w nim zaczynałem budzić, mogła być tylko następstwem obciążonego sumienia.

Później gdy wypłynęliśmy na pełne morze, podszedł do mnie — stałem wówczas przy burcie i przyglądałem się falowaniu morza. Dotychczas rozmawialiśmy na ogólne tematy, nie poruszając ani słowem spraw osobistych. Teraz jednak chcąc mnie lepiej wy badać, zapytał wprost:

— Słyszałem, że wraca pan z Indii? Czy długo przebywał pan w tym kraju?

— Tylko cztery miesiące. Interesy przywołały mnie z powrotem.

— A więc jest pan właścicielem firmy, a nie jej pracownikiem?

— Tak.

— Czy nie będę nic dyskretny, jeżeli zapytam, czym się pan dokładnie zajmuje?

— Interesuję się wyłącznie dwoma bardzo pospolitymi artykułami: futrem i skórą — odpowiedziałem, wiedząc, że stary Hunter pracował dawniej w tej branży.

— Tak, to bardzo intratna gałąź handlu. Ale nie słyszałem dotychczas, aby brała pod uwagę rynek indyjski?

Trafił w moją słabą stronę. Nie mogąc się wycofać, brnąłem dalej:

— Zapomniał pan o olbrzymich transportach futer syberyjskich.

— Czy te futra nie idą przez porty rosyjskie?

— Owszem. Ale także przez chińskie. Ponieważ jestem Anglikiem, Chiny są dla mnie zbyt odległe, poza tym ściągają tam wielki procent za pośrednictwo. Rosjanie zaś będąc zazdrośni o wpływy angielskie, niechętnie się odnoszą do naszych zamówień. Przypomnieliśmy jednak sobie, że nasze indyjskie posiadłości sięgają w głąb Azji, łatwo więc już było utorować gościniec do Bajkału — i oto sprowadzamy syberyjskie futra przez Indie, nie okupując się carowi ani chińskiemu bogdychanowi.

— Ach, tak! Ale głównym rynkiem dostaw dla pańskich towarów jest Północna Ameryka?

— Dla skór — La Plata, dla futer — Północna Ameryka. Niejeden transport sprowadzałem osobiście z Nowego Orleanu.

— Nowy Orlean? Niezawodnie zawarł pan tam jakieś znajomości?

— Tylko handlowe.

— Czy mimo to nie spotkał się pan z moim nazwiskiem? Mój ojciec wprawdzie od dawna wycofał się z interesów, ale podtrzymywał osobiste stosunki z tamtejszymi sferami handlowymi.

Teraz trzymał mnie w garści, ale ja go również, trzymałem. Udawałem, że się przez chwilę zastanawiam, po czym rzekłem:

— Pańskie nazwisko? Hunter? Hm! Hunter... nie mogę sobie przypomnieć takiej firmy. Hunter?...

— Nie firma, lecz dostawa wojskowa! Ojciec mój na wielką skalę handlował skórami.

— Dostawca wojskowy? A, to co innego! Hunter, czy to po niemiecku nie jest Jaeger?

— Tak.

— Widziałem nader bogatego pana, z pochodzenia Niemca, który nazywał się Jaeger. Był dostawcą wojskowym i zmienił nazwisko Jaeger na Hunter.

— To był mój ojciec. Znał go pan?

— Właściwie nie znałem. Raz jeden byłem mu przedstawiony. To wszystko.

— Gdzie? Kiedy?

— Niestety, nie przypominam sobie Prowadząc tak ruchliwe życie, łatwo się zapomina o szczegółach. Musiało to się stać w każdym razie u jakiegoś znajomego kupca.

— Zapewne. Ponieważ nie znał pan ojca bliżej, nie wie pan chyba, że już nie żyje?

Teraz strzelił gafę. Nie omieszkałem podstawić mu nogi, więc zapytałem:

— Nie żyje? Umarł? Kiedyż to, Mr Hunter?

— Przed trzema miesiącami.

— Przebywał pan wówczas na Wschodzie?

— Tak.

— Czy posiada pan rodzeństwo?

— Nie.

— Powinien pan więc natychmiast wrócić do domu! Takiej spuściznie nie pozwala się długo czekać.

Zarumienił się i zmrużył powieki Połapał się poniewczasie. Aby naprawić niezręczność, oświadczył:

— Dopiero przed kilkoma dniami otrzymałem wiadomość o śmierci ojca.

— Tak? No, to co innego. Ale zapewne jedzie pan bezpośrednio do domu!

Tym pytaniem znowu wprowadziłem go w zakłopotanie.

— Niezupełnie bezpośrednio — odpowiedział — ale postaram się pojechać jak najprędzej. Jakkolwiek się śpieszę, jestem zmuszony zatrzymać się w Tunisie.

Ta uwaga była jeszcze większym głupstwem.

— Zmuszony? Zapewne z powodu stosunków z Kalafem Ben Urik?

— Skąd pan wie? — zapytał zdumiony, obrzucając mnie bystrym, podejrzliwym spojrzeniem.

— To zupełnie proste. Kapitan mówił o tym człowieku, którego widocznie zna dobrze. Kalaf Ben Urik, jak słyszałem, polecił sprowadzić pana z Aleksandrii. Łatwo można wnioskować, że utrzymuje master z Kalafem ścisłe stosunki.

Przyparłem go do muru, przynajmniej chwilowo. Czoło Jonatana pokryło się głębokimi brzdami. Utkwił wzrok w ziemi i odezwał się dopiero po długiej chwili:

— Ponieważ usłyszał pan słowa kapitana, będę usprawiedliwiony, jeśli popełnię niedyskrecję względem Kalafa i wtajemniczę pana w jego osobiste sprawy. Zobacz pan w Tunisie... Czy z Tunisu wraca pan wprost do domu?

— Prawdopodobnie.

— Ja również wrócę drogą na Anglię. Zapewne pojedziemy tym samym statkiem. A ponieważ Kalaf będzie mi towarzyszyć, i tak dowie się pan o tym, co mógłbym obecnie niepotrzebnie zataić. Otóż Kalaf jest kolorasim.

— Któż to jest? — zapytałem, udając nieświadomość.

— Oficer w randze kapitana. Kalaf pochodzi ze Stanów Zjednoczonych.

— Jak to? Co takiego? — zawołałem ze zdumieniem. Amerykanin?

— Tak. Ponieważ chce zdezerterować z dotychczasowej służby wojskowej, zabiorę go do Ameryki i umieszczę gdzieś u siebie na posadzie. Wyjedziemy pierwszym parowcem, jaki wypłynie z portu Goletta. Będzie pan zapewne naszym współtowarzyszem podróży, dlatego uważałem za stosowne szczerze się panu zwierzyć. Czy mógłbym liczyć na pańską pomoc w potrzebie?

— Z największą przyjemnością, Mr Hunter — odpowiedziałem bardzo uradowany z takiego obrotu sprawy. W jaki sposób mógłbym panu służyć po mocą?

— Nie wiem jeszcze. Przede wszystkim prosiłbym pana, aby się podjął pośrednictwa między mną a Kalafem.

— Pośrednictwa? Czy nie zobaczy się pan z nim bezpośrednio?

— Nie. W każdym razie nie od razu i nie jawnie. Przyzna pan, że zamierzając uprowadzić oficera, muszę sam pozostać w ukryciu. Jeśli wyjdzie na jaw mój udział w dezercji kolorasiego, może to pociągnąć dla mnie ogromnie nieprzyjemne następstwa. Otóż słyszałem, że Kalaf wyjechał na jakiś czas z Tunisu, i nie wiem, czy już wrócił. Muszę się dowiedzieć, ale osobiście nie mogę zasięgnąć informacji. Czy nie byłby pan łaskaw uczynić to za mnie?

— Oczywiście. Z największą przyjemnością.

— Muszę jeszcze panu powiedzieć, że nie wysiądę w porcie tuniskim, w Goletta. Kapitan wysadzi mnie na ląd wcześniej — przy Ras Chamart. Stąd potajemnie przedostanę się do leżącej na południe od Tunisu wioski Zaghuan, gdzie mieszka jeden z przyjaciół kolorasiego. Jest to koniarz, nazywa się Bu Marama. Będę ukrywał się u niego, dopóki wraz z dezserterem

nie wsiądę na statek. Nikt nie powinien wiedzieć, że byłem w Tunisie i maczałem palce w tej sprawie. Pan natomiast w porcie dowie się, czy Kalaf Ben Urik wrócił, i przyjedzie do Bu Marama w Zaghuanie, aby mi przywieźć odpowiedź. A może jednak zbyt wiele od pana żądam?

— Nie, wcale nie. Co prawda, jestem tylko kupcem i handluję skórą i futrem, ale mam mimo to usposobienie romantyczne, z największą przyjemnością ofiaruję do pańskiej dyspozycji swoje usługi. Bardzo będę rad, jeśli zdołam w czymkolwiek przyczynić się do wyzwolenia kolorasiego.

— A więc porozumieliśmy się. Liczę na pańską pomoc i dyskrecję. Jest pan przyjacielem Emery'ego Bothwella?

— Tak.

— Nie chciałbym was tedy rozłączać. Niech pan z nim zamieszka, ja zaś podzielę kajutę z pańskim Somalijczykiem. Czy to panu odpowiada?

Zgodziłem się z obawy, że narzucając mu się zbyt, wzbudzę nieufność. Zresztą nie miałem potrzeby stale Huntera obserwować, przyczyniając się bowiem do rzekomego wyzwolenia kapitana i tak dowiem się o wiele więcej.

Teraz wiedziałem już na pewno, z kim miałem do czynienia. Był z pewnością Jonatanem, tuniski zaś kapitan — Tomaszem Meltonem, który swego czasu zapadł się jakby pod ziemię. Gdybyż to Jonatan Melton wiedział, że jestem w posiadaniu listu, który wysłał niegdyś do swego stryja Harry'ego Meltona!

Pseudo-Hunter pragnął w Tunisie pozostać w ukryciu, rzekomo, aby uniknąć późniejszych konsekwencji za udział w dezercji kapitana. Ale przejrzałem właściwy powód, którego mi nie zakomunikował. Prawdziwy Small Hunter został zwabiony w jakiś sposób do kolorasiego, który miał go usunąć. Póki się to nie stało, nie mógł się pokazywać podszywający się pod niego sobowtór. Nieobecność kapitana w Tunisie musiała pozostawać w związku z zamordowaniem Huntera. Dopóki byłby nieobecny, można było jeszcze uratować biednego młodzieńca, ale gdyby już kolorasi powrócił do miasta, byłoby to niezawodnym znakiem, że Hunter nie żyje. Nie mogłem siedzieć z założonymi rękami. Chętnie bym już widział port Golettę i skoczył na ląd, aby nie tracąc ani chwili, pośpieszyć autentycznemu Hunterowi z pomocą.

Zdanie moje podzielił Emery, skoro powtórzyłem mu rozmowę z rzekomym Hunterem. Winnetou, zgodnie ze swą naturą, zachował największy spokój i gdy noc zapadła, poszedł spać tak pewnie i bez wahania, jak gdyby Hunter był najczciwiejszym dżentelmenem.

Nasze kajuty nie przylegały do siebie, były oddzielone dwiema niewielkimi komórkami, których przeznaczenie było mi nie znane. A zatem z jednej kajuty nie można było podpatrywać drugiej. Mimo to porozumiewałem się z Emerym szeptem, w tym wypadku była to chyba zbyt ostrożność. Emery ubolewał, że nie jestem sąsiadem Huntera (chwilowo będę tak łotra nazywał, chociaż nie był Hunterem, lecz Jonatanem Meltonem), ubolewał mimo tych wszystkich wiadomości, które zdołałem z oszusta wycisnąć. Sądził, że gdybym dzielił kajutę z Hunterem, mógłbym o wiele więcej jeszcze z niego wyciągnąć, i uważał, że Winnetou nie potrafi wykorzystać tej okazji. Podzielałem jego zdanie, jak się wkrótce przekonałem, najzupełniej niesłusznie.

Spaliśmy już od dawna. Była zapewne druga po północy, gdy obudziło mnie lekkie pukanie do drzwi. Było tak ciche, że Emery ani drgnął; ja miałem uszy o wiele czulsze. Wyteżyłem słuch. Pukanie się powtórzyło. Podniosłem się i nie otwierając drzwi, zapytałem:

— Kto tam?

— Winnetou — brzmiała cicha odpowiedź.

Otworzyłem. W drzwiach stał Apacz. Przyniósł chyba jakąś ważną wiadomość.

— Jak tu ciemno. Czy moi bracia nie mogą zaświecić?

— A więc chcesz nam nie tylko coś powiedzieć, ale i pokazać? — zapytałem.

— Tak.

— Czy to rzecz ważna?  
— Być może, nie wiem na pewno. Jest to skórzany przedmiot, zwany przez białych pugilaresem.  
— Zabrałeś go potajemnie?  
— Wykradłem, aby potem odłożyć z powrotem.  
— Czy trzymał go w kieszeni?  
— Nie. Moi bracia widzieli kuferek Huntera. Skoro się położyłem, udawałem, że natychmiast zasnąłem. Wówczas Melton, odczekawszy chwilę, otworzył kufer, aby uporządkować rzeczy. Wyciągnął pugilares i wyjął różne papiery. Przeglądał je, po czym włożył z powrotem. Przy tym obserwował mnie tak badawczo i nieufnie, że powziąłem podejrzenie, iż pugilares zawiera na pewno jakiś sekret. Postanowiłem go wykraść. Przyglądałem się uważnie, jak wkładał go z powrotem do kufra, w jaki sposób kufer zamykał i gdzie schował klucz. Zasnął, trwało to jednak jeszcze bardzo, bardzo długo, zanim mogłem wyciągnąć kluczyk z kieszeni spodni;  
— Do pioruna! Posiadasz wszelkie: kwalifikacje na złodzieja kieszonkowego!  
— Mężczyzna powinien umieć zrobić wszystko, ale wykorzystywać to powinien tylko w takich przypadkach, kiedy jest to wskazane, dobre i pożyteczne. A zatem otworzyłem kufer i wyjąłem pugilares. Otóż i on. Moi bracia niech zbadają, czy jego zawartość może się przydać.  
Na pułapie kajuty wisiała mała lampka, którą kładąc się do snu zagasiliśmy. Teraz zapaliłem ją z powrotem. Nie trzeba chyba dodawać, że Emery zerwał się z posłania. Oczywiście, zamknąłem drzwi i zaryglowałem od wewnątrz. Zaczęliśmy w skupieniu przeglądać pugilares.  
Poza banknotami oraz innymi papierami, które nas niewiele obchodziły, pugilares zawierał kilka starannie złożonych listów. Już pierwszy skupił całą naszą uwagę. Był napisany po angielsku i zawierał treść mniej więcej taką:

*Kochany Jonatanie!*

*Co za szczęście, że za plecami Huntera zabrałeś z konsulatu w Kairze jego listy. Co za wiadomość! Jego ojciec umarł, a on sam ma wrócić do domu! Że tak jest istotnie, tego dowodzi pismo władz, jako też listy młodego adwokata, przyjaciela Smalla. Nie wątpię, że wejdiesz w posiadanie spadku. Poradzimy sobie bardzo łatwo, a wówczas i ja będę mógł wreszcie pożegnać smutne wygnanie i rozpocząć gdzie indziej nowe, lepsze życie.*

*Czy przystają na twój plan? Powiadam ci, że nie wyobrażam sobie lepszego. Zwabimy Huntera do Tunisu listem, napisanym przez ciebie w imieniu adwokata. Jesteś prawdziwym sztukmistrzem. Podpis adwokata jest tak zdumiewająco podrobiony, że Hunterowi nie przyjdzie na myśl wątpić w jego autentyczność. Uwierzy, że przyjaciel—prawnik przyjechał do Tunisu i pragnie się z nim porozumieć w bardzo ważnych sprawach, wobec tego skorzysta z najbliższej okazji, aby do niego podążyć.*

*Rozumie się, że nie powinienesz Smallowi towarzyszyć, gdyż wasze niezwykle podobieństwo może wpaść w oczy i potem pomieszać szyki. Musisz chwilowo zostać w Egipcie. O powód nietrudno. Możesz powiedzieć, żeś nagle zachorował. Zamieszkać w Aleksandrii u Greka Michalisa. Będę przysyłał listy na jego adres. Znajdziesz w nich dalsze instrukcje.*

*Bardzo to było sprytne, żeś w owym podrobionym liście napisał, iż adwokat Fred Murphy mieszka u mnie. Wskutek tego Hunter od razu trafi w moje ręce, a ja już znajdę sposób usunięcia go — szybki i skuteczny. Następnie zaś zawezwę ciebie i odtąd już będziesz mógł śmiało występować jako Hunter. Poznałeś tak dokładnie i wyczerpująco jego życie osobiste, że nietrudno ci będzie w Stanach Zjednoczonych udawać z powodzeniem Smalla, przynajmniej do czasu zagarnięcia spadku.*

Przytoczyłem większą część listu, dotyczącą naszych spraw. Poza tym list zawierał jeszcze inne informacje — dla nas obojętne, a które dla rzekomego Huntera miały jakieś znaczenie, że

uznał za wskazane list zachować, gdyż w innym wypadku byłoby wręcz niezrozumiałe, dlaczego nie zniszczył tego kompromitującego dokumentu. Wszak zawierał on tak dokładny opis występnego planu, że każdy, komu list wpadłby w ręce, od razu wiedziałby, o co chodzi, i musiałby poczynić odpowiednie kroki.

To samo odnosi się do drugiego listu, późniejszego, zaczynającego się od słów następujących:

*Kochany synu!*

*Doskonale się wywiązałeś ze swego zadania. Idzie jak po maśle. Small Hunter przyjechał i zamieszkał u mnie. Tylko jedno nie bardzo mi się podoba, mianowicie to, że kazał z Kairu przesyłać listy i przesyłki pocztowe na adres Musaha Babuama. Opowiadał o tobie i serdecznie ubolewał, że choroba zatrzymała cię w Egipcie. Oczywiście, nie ma pojęcia, że ojciec jego umarł.*

*Natychmiast po przybyciu dowiadywał się o swego przyjaciela, adwokata Freda Murphy'ego. Byłem na to przygotowany i wymyśliłem prawdopodobny wybieg. Ale nie uciekłem się do niego, gdyż z pomocą przyszedł mi przypadek.*

*Otóż Uled Ayarzy zbuntowali się przeciwko bejowi tuniskiemu, albowiem żąda wygórowanego haraczu Otrzymałem rozkaz wyruszenia przeciwko Ayarom wraz ze swoim alty bälüjü\*, poskromienia ich i ściągnięcia za karę podwójnego okupu. Postanowiłem zabrać ze sobą Smalla Huntera. Powiedziałem, że adwokat, nie spodziewając się tak szybkiego jego przybycia, pojechał na wycieczkę w tamte strony. Hunter był tak głupi, że uwierzył. Nie pomyślał o tym, że Ulec Ayarzy mieszkają w odległości co najmniej stu pięćdziesięciu kilometrów od Tunisu. Jutro ruszamy. Nie zabraknie potyczek, które nastreczą łatwą najlepszą sposobność pozbycia się Huntera raz na zawsze.*

*Według moich obliczeń, ekspedycji potrwa od czterech do pięciu tygodni następnie powrócę. Urządź się tak abyś w tym czasie przyjechał do Tunisu. Mój przyjaciel, francuski kapitał Villefort, kursuje między Tunisem i Aleksandrią i przyjmie cię na pokład Przyrzekł, że cię wysadzi nie w porcie lecz wcześniej, koło przylądka Chamart, ponieważ nie powinienes się pokazywać publicznie, dopóki nie dam ci znać. Zanim do mnie przyjedziesz dowiedz się, czy wróciłem. Jeśli nie, to czekaj w ukryciu. Porozumiałem się w tej sprawie z koniarzem Bu Marama Mieszka w wiosce Zaghuan, na południe od Tunisu, i jest mi wielce zobowiązany. Chętnie cię przyjmie i tak ukryje, że nikt się o twoim pobycie nie dowie. Oczywiście, nie wtajemniczyłem go w powody.*

*Nie muszę chyba pisać, że odbiorę Smallowi wszystkie rzeczy i dokumenty i wręcę tobie, abyś mógł się wylegitymować. Poza tym nie myślę nawet prosić o urlop, czy dymisję: po prostu zdezerteruję. Pojedziemy najbliższym statkiem przez Anglię do Stanów Zjednoczonych. Pozostaniemy w Anglii przez krótki czas. Mam po temu powody. Musimy zawrzeć w drodze parę, solidnych znajomości, musimy nawiązać stosunki z paroma wiarygodnymi dżentelmenami, którzy poznawszy cię jako Smalla Huntera w razie czego potwierdzą autentyczność...*

Potem znowu kilka stroniczek, wypełnionych sprawami, które nas nic nie obchodziły, ale które zapewne były właściwym powodem zachowania listu.

Pozostałe papiery nie zawierały nie ciekawego. Dowiedzieliśmy się zresztą dosyć z obu listów. Były tak jasne i wyraźne, że nie trzeba było się wcale; zastanawiać. Haniebny plan wyłożono tak plastycznie, jak gdybyśmy go słyszeli osobiście z ust kolorasiego.

— A zatem wiemy już, dlaczego pseudo-Hunter wysiada na przylądku — rzekł Emery.

— I dlaczego zawarł z tobą znajomość — dodałem.

---

\* Szwadron



— Tak! Poznałem go jako Smalla Huntera i mogłem w razie pogrzeby świadczyć o prawdziwości nazwiska Ten łotr usłyszy ode mnie wyraźnie, co jest w nim prawdziwego, a co fałszywego. Naturalnie, zachowamy te listy!

— O nie! Skoro ich nie znajdzie, rzuci na nas podejrzenie, to może nam popsuć szyki.

— Czy spodziewasz się, że później odzyskamy listy?

— Tak.

— A jeśli tymczasem je zniszczy?

— Jeżeli dotychczas starannie i przechowywał, to nie widzę żadnego powodu, aby tego nadal nie robił. Nie spuścimy go z oczu. Mamy Jonatana i rękę i zawsze będziemy mogli odebrać dokumenty.

— Masz słuszość. Przede wszystkim nie wolne i budzić w nim podejrzeń. Winnetou niech położy pugilares na miejsce i zamknie z powrotem kuferek.

Nie było to rzeczą łatwą. Ale należało się spodziewać, że Apacz wykaże taką samą zręczność przy zwróceniu kluczyka, jak przy wykradaniu. Zabrał pugilares i wymknął się z kajuty. Nazajutrz rano zawiadomił nas, że rzekomy Hunter spał przez cały czas i nie widział, jak równie rzekomy Somalijczyk Ben Asra manipulował przy kufierku.

Przez cały dzień następny Hunter obcował z nami, zachowując się całkiem swobodnie, ale na próżno spodziewałem się, że skieruję rozmowę na wczorajszy temat. Zręcznie lawirował, nie chcąc zdradzić się z niczym więcej. Minęła następna noc, ze świtem zbliżyliśmy się do celu. Hunter podszedł do mnie i rzekł:

— Czy zamierza pan wyświadczyć mi ową grzeczność, o którą pana prosiłem?

— Naturalnie — odpowiedziałem — Co raz przyrzekłem, tego już nie cofam.

— A więc dowie się pan, czy kołorasi wrócił do Tunisu, a następnie przywiezie wiadomość do Zughuanu?

— Tak.

— Najlepiej pana poinformują w koszarach, na północ od miasta. Kiedy mogę się pana spodziewać w Zaghuanie?

— Zapewne zaraz po południu.

— Świetnie! Mam jeszcze jedną prośbę. Ponieważ muszę przebyć daleką drogę z przyłodka Chamart do Zaghuanu, a nie chciałbym zwracać niczyje, uwagi, więc wolałbym nie brać ze sobą kufra. Czy nie byłby pan tak grzeczny i nie wziął go pod swoją opiekę aż do portu, gdzie przekazałby go przez tragarza do Zaghuanu?

— Z miłą chęcią.

— Więc pożegnajmy się. Do widzenia, do popołudnia!

Podał mi dłoń i wrócił do swojej kajuty. Na mój znak Winnetou poszedł za nim. Apacz zameldował mi później, że Hunter wyjął z kufierka pugilares i schował przy sobie. To było wszystko, co na razie chciałem wiedzieć.

Koło przyłodka kapitan kazał skręcić i łodzią podwieźć Huntera na ląd. Potem pojechaliśmy dalej, do portu. Tam wręczyłem kufer tragarzowi.

Ani mi się śniło zasięgać w koszarach informacji o kolorasim. Postanowiłem natomiast pójść do mego przyjaciela Krüger-beja. Wiedziałem, gdzie go znaleźć. Miał dwa mieszkania służbowe, jedno w Kasbah, w pałacu beja — w samym mieście, a drugie w Bardo, na zamku odległym o cztery kilometry od miasta, stanowiącym właściwą siedzibę rządu. Zostawiłem swoich przyjaciół w hotelu i poszedłem najpierw do Kasbah, a następnie nie spotkawszy go tam — do Bardo. Droga była mi doskonale znana, gdyż nieraz ją przemierzałem, odwiedzając równie miłego, jak oryginalnego Pana Zastępów.

W Bardo nic się od czasu mego ostatniego pobytu nie zmieniło. W przedpokoju siedział stary podoficer, który, jak wiedziałem, meldował przybyszów. Palił fajkę, szablę położywszy obok siebie.

— Czego chcesz? — zapytał mechanicznie, nie racząc na mnie spojrzeć.

Znałem go dobrze, należał do starej służby Pana Zastępów. Serdecznie go lubiłem w tamtych czasach, kiedy jeszcze był onbaszym\*. Teraz, jak widziałem, dosłużył się rangi czausza\*. Ten zacny, siwowłosy muzułmanin miał chyba ponad sześćdziesiątkę, ale wyglądał jeszcze tak dziarsko, jak wówczas, gdy był moim przewodnikiem do Uled Said. Jego imię brzmiało właściwie Selim, ale wszyscy nazywali go starym Sallamem, albowiem zawsze miał słowo „sallam” na ustach, nadając mu przeróżne możliwe i niemożliwe znaczenia. Gdy wołał „o sallam!”, mogło to oznaczać zarówno „o rozkoszy!”, jak „o hańbo, o radości, o niedolo, co za okrucieństwa, jak cudownie, jak zachwycająco, jak nędznie, jak wstrętnie!” — i sto innych pojęć. Wszystko zależało od miny i gestykulacji, którymi interpretował ten okrzyk.

— Czy Pan Zastępów w domu?

— Nie.

Dotychczas na mnie nie spojrział. Wiedziałem, co o tym sądzić. Pana Zastępów oczywiście nie było w domu, dopóki Selim nie dostał swego bakszyszu.

— Ale wiem na pewno, że jest — odparłem. — Masz pięć piastrow i zamelduj mnie natychmiast.

— Dobrze. Skoro Allah rozjaśnił ci rozum, wpuszczę cię do Pana Zastępów. Daj i...

Podniósł na mnie spojrzenie i nie dokończył zdania. Przesunął wzrok z ręki, trzymającej monetę, na twarz; umilkł, skoczył i zawołał radośnie:

— O sallam! Sallam! Sallam! Jeszcze raz sallam i po trzykroć sallam! To ty, o rozkoszy moich oczu, blasku mojej duszy, zachwycie mego oblicza! Allah sprowadził cię na czas. Jesteś nam potrzebny. Pozwól się uścisnąć i zachowaj swoje pieniądze, zachowaj! Niech mi raczej ręka uschnie, niżbym miał od ciebie wziąć bakszysz, przynajmniej dzisiaj... Ale jutro możesz mi dać podwójny!

Objął mnie, ucałował, po czym wbiegł do sąsiedniego pokoju, skąd natychmiast rozległy się jego: O sallam, sallam, sallam!

Z niecierpliwością oczekiwałem na Krüger-beja. Byłem przekonany, że powita mnie swoistym niemieckim zdaniem. Drzwi rozwarły się z hukiem. Ukazał się Sallam, który chwycił mnie za ramię i popchnął do pokoju, wołając:

— Oto jest zesłany przez Allacha! O sallam, sallam!

Następnie zamknął drzwi. Znajdowałem się w pokoju Pana Zastępów, który stał przede mną, nieco postarzały, bardziej przygarbiony niż dawniej, ale z oczami błyszczącymi i twarzą roześmianą. Wyciągnął ramiona i powitał mnie w swojej osobliwej mowie niemieckiej:

— Pana tu? Pana w Tunisie? Błagam pana do chcenia brania powitania za najserdeczniej pozdrowiony, do skierowania szlachetnej przyjemności tego uczucia podczas bycia oszołomiony w pięknych chwil względem terażniejszości z powodu tysiąc ukłonów na sto uczuć, bytem, być i chcieć zostać panu przyjaciół, a pan mnie brat jako z Niemczech i okrom tego zawsze Afryka!

Słowa te należy odczytać błyskawicznie, bo tak je wypowiedział Krüger-bej. Objął mnie i ucałował równie serdecznie, nawet serdeczniej niż stary Sallam, posadził na kobiercu, z którego był powstał, i szybko mówił, dalej. Niestety, muszę czytelnikowi przekazać jego słowa w minimalnej choć korekcie, inaczej bowiem nie zdołałby nic z nich zrozumieć.

— Niech pan siebie posadzi w dół. Niech pan siebie posadzi. Mego starego Sallama przyniosą fajki i kawę ze śpieszącą niezwykłością, aby panu dowodzić zachwyconego stanu, że pana tu nagle dzisiaj przyniosło. Kiedy pan siebie przywiózł?

— Dopiero co przybyłem z Egiptu.

— Czy pomyślał pan o wzięciu mieszkania w hotelu?

— Jeszcze niezupełnie, przynajmniej o ile to mnie dotyczy. Moi przyjaciele zaś chyba wynajęli. Mam ze sobą dwóch towarzyszy.

---

\* Kapral

\* Sierżant

- Kto?
- Czy przypomina pan sobie moje przygody na pustyni algierskiej?
- Tak. Karawana rozbójników, co zabił waleczny Anglik i do domu zaprowadził wolnych jeńców.
- Słusznie, ów słynny Anglik, Emery Bothwell, jest tutaj. A czy pamięta pan z moich opowiadań wodza Apaczów, Winnetou?
- Z dokładnością, nieprzemijającą dla pamięci pańskiej trwałości z Indianami, u których Winnetou pana główny z przyjaciół.
- Tak. I otóż ten wódz indiański jest również ze mną. Opowiem panu, z jakiego powodu i w jakim celu zszedłem się z tymi niezwykłymi ludźmi.
- Tak, opowie mi pan wszystko — zaczął i zapytał, czy Winnetou ma swą srebrną strzelbę, a ja niedźwiedziówkę i sztucer. Posługiwał się teraz językiem arabskim, którym władał bezbłędnie. Potwierdziłem i zapytałem:
- Ale dlaczego pan wypytuje o naszą broń?
- Ponieważ może nam się przydać.
- Jakże to?
- Otóż jutro wyruszę przeciwko Uled Ayarom, którzy podnieśli rokosz.
- Uled Ayarzy zbuntowali się? O tym już słyszałem. Nie chcą uiścić pogłównego. Ale zdaje się, że wysłaliście przeciwko nim ekspedycję konną?
- A jakże, ale wczoraj przybył żołnierz i zameldował, że moi wojownicy nie tylko nie osiągnęli celu, ale na domiar pozwolili się okrążyć przez buntowników. Tylko jeden żołnierz zdołał się wydostać.
- Gdzie to nastąpiło?
- Przy ruinach Mudheru.
- Nie znam miejscowości, ale to szczęśliwa okoliczność, że nie okrążono ich w szczerym polu. W ruinach można się schronić i utrzymać, dopóki nie nadejdzie pomoc. W ogóle zaś popełniono niewybaczalny błąd. Uled Ayarzy to bitne plemię i z tego, co słyszałem o nich, wnioskuję, że potrafią zebrać do tysiąca wojowników. Czy to prawda?
- Być może, dziewięciuset.
- Sto więcej czy mniej nie odgrywa; roli. Bądź co bądź jeden szwadron przeciwko takiemu plemieniu, to za mało. Czy szwadron miał przynajmniej zdolnego oficera?
- O tak! Kapitan, czyli rotmistrz, dzięki roztropności i odwadze został moim ulubieńcem. Nazywa się Kala Ben Urik.
- Arab, Turek, Mauretanin czy Beduin?
- Ani Arab, ani Beduin. Urodził się w Anglii, wstąpił do wojska w Egipcie przeniósł się do Tunisu, wkrótce został podoficerem i awansował coraz wyżej, Niejednokrotnie się odznaczył, wreszcie został kolorasim, a teraz powierzyłem mu wyprawę przeciwko Uled Ayarom.
- Aż tak dzielnym człowiekiem jest ten Kalaf Ben Urik? Hm!... Jakże więc mógł popełnić taką nieostrożność, iż podjął się niebezpiecznej wyprawy tylko z jednym szwadronem? Czy tylko tyle chciał wysłać basza?
- Tak.
- A może Kalaf Ben Urik uważa się za tak dzielnego oficera, że nie wątpił, iż poskromi zbuntowanych z tak niewielkim oddziałem?
- To prawda. Mówił, że każdy jego żołnierz zręcznością i odwagą podola dziesięciu wrogom.
- Skąd nastąpił wymarsz?
- Z Uneki.
- A zatem poszli na południe drogą karawan. Czy nikt obcy nie towarzyszył kapitanowi?
- Owszem.
- Któż to? Czy zna go pan?

— Nie.

— Sądzę, że Kalaf Ben Urik musiał pana prosić o pozwolenie, skoro zamierzał zabrać ze sobą człowieka, nie należącego do wojska?

— Naczelnny komendant oddziału ma prawo zabrać z sobą, kogo zechce.

— Tak? A zatem nie miał potrzeby się pytać. W jakiej sile chce pan pośpieszyć z odsieczą?

— Z trzema szwadronami. Wyruszamy jutro po obiedzie.

— A więc w porze asr\*.

— Tak.

— Niestety, muzułmanie wierzą, że wyprawa, która nie rozpoczyna się w porze asr, nie może się powieść. Traci się na tym cały dzień marszu. Trzeba sobie jednak uprzytomnić, że ta zwłoka, aczkolwiek niewielka, może przyprawić o zgubę tych, których pragniecie wybawić. Na waszym miejscu nie zwlekałbym ani chwili, lecz niezwłocznie wyruszył, choćby nawet w nocy.

— Przyznaję panu słuszność. Ale asr musi pozostać asrem i nikt nie może się sprzeciwiać rozkazom baszy.

— Skoro Mohammed es Sadok–basza tak rozkazał, to nic już nie da się zmienić. Musi pan przeczekać jutrzejsze południe.

— Ale pan z nami pojedzie? A także pańscy obaj sławni towarzysze?

— Hm. Nie mam nic przeciwko temu. Taka wyprawa bardzo mi nawet odpowiada. A co się tyczy Emery’ego i Winnetou, to sądzą, że przyłączą się również.

— Cieszy mnie to niezmiernie. Oczywiście, obaj ci panowie nie powinni zostać w hotelu. Proszę ich bardzo, aby zamieszkali u mnie, jako moi najmiłsi goście.

— Dobrze. Niech pan po nich pošle. Ponieważ nie mają bagażu, wystarczy wysłać parę wierzchowców. Ja również nie mam konia. Skoro towarzyszymy w wyprawie przeciwko Uled Ayarom, musi nam pan dostarczyć koni. Chyba nie mam potrzeby zaznaczać, że Winnetou i Emery przywykli do wybornych wierzchowców i nie zadowolą się byle jaką szkapą.

— Tak samo jak pan! Ale proszę się o to nie kłopotać. Zna mnie pan i ma chyba pewność, że dam wam najlepsze wierzchowce, jakie się znajdują w mojej stajni.

— Przyjmujemy je z prawdziwą wdzięcznością. Byłoby mi bardzo miło, gdybym dostał natychmiast konia. Muszę bowiem wrócić do miasta i pojechać do Zaghuanu.

— W jakim celu?

— Później panu opowiem, kiedy czas na to pozwoli. Wówczas dowie się pan także o celu naszego przyjazdu. Teraz proszę o odpowiedź na parę pytań. Czy ma pan dowody, że Kalaf Ben Urik był Anglikiem?

— Nie.

— Czyim więc jest poddanym?

— Tuniskim.

— Przypuśćmy, że popełnił przestępstwo, w takim razie sędzi go nie przedstawiciel jego ojczyzny, ale basza?

— Tak. Lecz Kalaf Ben Urik to największy dżentelmen i wierzący, praktykujący muzułmanin. Jestem gotów za niego przysiąc i nie ścierpię żadnej napaści na mego faworyta.

Wypowiedział to surowym i dobitnym tonem. Nie ulegało wątpliwości, iż cenę Kalafa Ben Urik bardzo wysoko. Wobec tego powziąłem myśl, a nawet mocne postanowienie, aby chwilowo nie opowiadać Krüger–bejowi tego, co wiedziałem o jego ulubieńcu. Ponieważ tak gorąco opowiadał się za Kalafem, można było się spodziewać, że stary Pan Zastępów swoją interwencją pokrzyżuje nasze plany. Prędko zatem zmieniłem temat rozmowy. Opowiadaliśmy sobie rozmaite przygody, paliliśmy kosztowny dżebeli, piliśmy kawę, której stary Sallam wciąż dolewał, gwarzyliśmy o wszystkim, tylko nie o tym, co mi ciążyło na sercu.

---

\* Pora modlitwy poobiedniej około godziny trzeciej

Wreszcie musiałem Krüger–beja pożegnać, aby niebawem wrócić. Odprowadził mnie do drzwi, co czynił jedynie wobec szczególnie miłych sobie gości. Na dworze czekał prześliczny kasztanek. Dosiadłem go i pojechałem najpierw do hotelu, aby zaprosić towarzyszy do Krüger–beja i zawiadomić o niespodziewanych trudnościach. Czyż mogliśmy przypuszczać, że wyrafinowany złoczyńca wbrew naszym interesom wkradnie się w łaski starego Pana Zastępów? Jakkolwiek Krüger–bej lubił mnie i poważał, zrozumiałem, że nic nie zdziałam gołosłownym oskarżeniem, że muszę dostarczyć niezbitych dowodów. Miły, dobry, a jednak nad wyraz uparty stary naczelnik straży przybocznej mógł tak pokierować sprawą swego pupila, iż ten zdołałby się nam wymknąć z rąk. Trzeba go było za wszelką cenę zaskoczyć.

— Zaskoczyć? Ale jak? — zapytał Emery.

— Z pomocą pseudo–Huntera — odpowiedziałem.

— Jak to rozumiesz?

— Pojadę do Huntera i namówię, aby nie wypatrywał ojca w Zaghuanie, ale przyłączył się do wyprawy przeciwko Uled Ayarom. Jestem przekonany, że nagłe i niespodziewane spotkanie Kalafa Ben Urik z synem tak oszołomi, że nie omieszka się zdradzić co nas upoważni do uwięzienia go.

— Niezła myśl. Ale jak zdołasz Jonatana namówić?

— Zdaj się na mnie! Tak mu wszystko wyłożę, że sam się będzie narzut na towarzysza. Wyobraź sobie przestrach kolorasiego, skoro ujrzy syna, przerażenie, skoro zobaczy mnie, Old Shatterhanda, znającego jego przeszłość. Musiałby mu naprawdę czart pomagać, gdyby nie popełnił lub nie powiedział czegoś, co dowiodłoby Panu Zastępów, że obdarzał szacunkiem krwio pijęcę w ludzkiej postaci. Teazr ruszam do Zaghuanu. Wkrótce przyjadą po was od Krüger–beja.

— Poczekaj chwilę! Istnieje jeszcze jedna okoliczność, bardzo ważna, której, zdaje się, zapomniałeś. Krüger–bej wie naturalnie, że jesteś Niemcem i zna twoje nazwisko?

— Oczywiście.

— Powiedziałeś także, że przyjechał z tobą wódz Apaczów?

— Tak.

— A teraz pojedzie z nami rzekomy Hunter? Dowie się wnet, żeś go oszukał.

— Jak to?

— Wszak mówiliśmy, że jesteś Anglikiem Jonesem, a Winnetou Somalijczykiem Benem Asra.

— Cóż to szkodzi?

— Co szkodzi? Dziwne pytanie! Tą zwyczaj szybko rozumiesz! Jest rzeczą prawie niemożliwą, aby Hunter nie posłyszał w drodze waszych prawdziwych nazwisk. A wówczas wzbudzimy w nim podejrzenia.

— Zbyteczne skrupuły. Przekonam go, że oszukujemy nie jego, lecz Pan Zastępów.

— Hm, być może. Ale czy ci się uda?

— Z pewnością. Powiadam wam, im bardziej wyrafinowany złoczyńca, tym łatwiej go podejść.

Zapukano do drzwi. Był to stary Sallam. Pan Zastępów przysłał go wraz z dziesięciu jeźdźcami po Emery’ego i Winnetou. Stanowiło to dowód szacunku i życzliwości Krüger–beja. Emery zapłacił rachunek za pobyt w hotelu, po czym cała kawalkada ruszyła do Bardo. Ja tymczasem pojechałem do Zaghuanu.

Nietrudno było znaleźć mieszkanie Bu Marama. Jako koniarz przyjmował wielu ludzi i dlatego mogłem bez problemu dowiadywać się o jego adres, nie zwracając na siebie uwagi. Zatrzymałem się przed długim, wąskim, niskim, białym otynkowanym budynkiem, który składał się tylko z sutereny i był okryty dachem Marama otworzył wrota i wpuścił mnie na podwórze, gdzie w licznych ogrodzeniach stały konie na sprzedaż. Obejrzał z początku mego kasztana, a

następnie mnie samego z wyrazem zdziwienia na twarzy i podczas gdy zsiadałem z konia, zapytał podejrzliwie:

— Czy przyjechałeś, aby sprzedać konia?

— Nie.

— To dobrze! Inaczej bowiem byłbyś koniokradem. Znam tego kasztana. Jest to ogier, prawdziwy mauretański henneszah, ulubiony koń naczelnika straży przybocznej naszego baszy, który obdarza cię chyba wielkim zaufaniem, skoro powierzył ci to kosztowne zwierzę.

— Jest moim przyjacielem.

— W takim razie powiedz Panu Zastępów, że jestem jego a także twoim najpokorniejszym sługą. Jakież twoje życzenia mogę spełnić?

— Przyjechał do ciebie cudzoziemiec, który chce pozostać w ukryciu?

— Nic o tym nie wiem. Kto ci powiedział? — zapytał przerażony tym, że przyjaciel Krüger-beja dopytuje się o człowieka, którego schował.

— Powiedz prawdę. Możesz mi zaufać. Jechałem razem z tym cudzoziemcem i przesłałem nawet przez tragarza jego bagaż. Powiedz mu, że chcę z nim pomówić.

— Wątpię, czy cię przyjmie — rzekł z nieufnością. — Mój gość chce właśnie ukryć się przed tym, który jest twoim przyjacielem. Jakże może ci się pokazać na oczy! Dowiem się wnet, czy istotnie jesteś tym, którego wypatruje. Skąd i kiedy przybył okręt?

— Z Aleksandrii. Dzisiaj rano.

— Gdzie wylądował ten cudzoziemiec, o którego pytasz?

— Przy Ras Chamart.

— Z jakiego kraju pochodzisz?

— Z Belad el Ingeliza\*.

— Twoje nazwisko?

— Jones.

— Twoje odpowiedzi są trafne, a zatem muszę cię zaprowadzić do niego. Ale powiedz, czy naczelnik straży przybocznej wie, dokąd pojechałeś?

— Nie wie.

— Czy powiesz mu?

— Ani myślę. Wiem, że jesteś przyjacielem kolorasiego Kalafa Ben Urik i tylko ze względu na niego ukryłeś cudzoziemca. Darzę kolorasiego bardzo żywym i wielkim zainteresowaniem. Znam jego zamiary, jego cele i pragnienia o wiele lepiej od ciebie. A zatem proszę, porzuć nieufność i zaprowadź mnie do swego gościa. Muszę mu oznajmić parę bardzo ważnych wiadomości, nie cierpiących zwłoki.

— A więc chodź! Zaprowadzę cię do niego.

Nie dziw, że koniarz mi nie dowierzał. Jeżeli nawet Tomasz Melton nie wtajemniczył go w swe plany, to w każdym razie musiał mu wyjawić niektóre szczegóły i oznajmić, że władze nie powinny się dowiedzieć o obecności cudzoziemca. A teraz ja przyjechałem na wierzchowcu urzędnika, który zaliczał się do najwyższych dygnitarzy. Kosztowność mego konia dowodziła bliższych stosunków z owym dygnitarzem. To musiało oczywiście ściągnąć na mnie jego podejrzenia.

Zostawiłem konia i poszedłem za gospodarzem. Rzekomym celem moich odwiedzin była wiadomość, że kolorasi, ojciec Jonatana Meltona, nie wrócił jeszcze z wyprawy. Ale w istocie miałem zamiar skłonić Huntera, aby nie zostawał w Zaghuanie, lecz pojechał z nami.

Ale jak to zrobić, nie budząc podejrzeń? Sęk w tym, że uważał mnie za Mr. Jonesa, w drodze zaś musiałby się dowiedzieć od Krüger-beja i innych, iż jestem Niemcem? Należało tę sprzeczność pogodzić wiarygodną wersją.

---

\* Anglia

Koniarz przeprowadził mnie przez parę izb. W jednej kazał mi zostać, sam zaś poszedł zameldować. To dowodziło, że żywił jeszcze w duszy nieufność. Sporo czasu minęło, zanim wrócił i polecił mi wejść, po czym szybko się oddalił.

Pseudo-Hunter czekał na mnie w sąsiedniej izbie. Był to, zdaje się, najlepszy pokój w całym domu. Wyciągnął do mnie rękę i rzekł:

— Oto i pan! Chciano pana odprawić z kwitkiem, co?

Z jego tonu i twarzy wywnioskowałem, że Bu Marama nie potrafił w nim zachwiać zaufania do mnie. Odpowiedziałem:

— Stanowczo. Nie dowierzał ni pański gospodarz.

— To prawda. A czy wie pan, dlaczego?

— Mam nadzieję, że mi pan wyjaśni

— Ponieważ dosiada pan kasztana komendanta straży przybocznej. Mówił, że jest pan na pewno zaufanym dowódcy wojsk tuniskich.

— A tak! Hm! Ma słuszność, a zarazem jej nie ma.

— Jak to?

— Bardzo szczególnie przypadek, — Z początku byłem oszołomiony, szybko jednak postanowiłem go wykorzystać — Siadajmy! Muszę panu opowiedzieć Jest to osobliwa przygoda, możliwi tylko na Wschodzie i przypuszczam, że pociągnie za sobą szereg innych.

— Cóż takiego? Jestem niezmiernie zaintrygowany. Niech pan opowiada — rzekł, siadając i podając mi cygan wraz z zapałką.

— Niech pan słucha — zacząłem. — Poszedłem do koszar, aby zgodnie pańską prośbą zasięgnąć wiadomości o kolorasim. Przed drzwiami siedziała gwarzyła garstka żołnierzy. Chciałem ich zagadnąć, gdy naraz zerwali się zasalutowali. Odwróciłem się, patrzę — nadjeżdża mały oddział, a na czele oficer wyższej rangi. Oczywiście, szybko się wycofałem. I oto dowódca, przejeżdżając obok, rzucił na mnie spojrzenie, z miejsca osadził konia i, wydając okrzyk radości, powitał mnie jak emira Kara ben Nemzi.

— Ach! Zdziwiający! Jest pan chyba podobny, bardzo podobny do człowieka, którego nazwisko wymieni Sprostował pan oczywiście pomyłkę?

— Uczyniłem to, ale roześmiał się tylko i poczytał to za żart.

— W takim razie podobieństwo ja istotnie zdziwiający! Któż to był tej oficer?

— Sam Krüger-bej, Pan Zastępów.

— To bardzo ciekawe! Niech pan opowiada dalej! Przekonał pan go jednak, że się myli?

— Chciałem to uczynić, ale wesołym śmiechem nie pozwolił mi dojść do słowa, ujął za ramię i prosił, abym nie stroił żartów. Musiałem towarzyszyć mu do koszar, do pokoju oficerskiego, gdzie zostawił mnie, przepaszając, że musi załatwić służbowe sprawy, które sprowadziły go do koszar. Abym się nie nudził, przydzielił mi do towarzystwa starego podoficera imieniem Sallam.

— Niezwykła przygoda!

— Ale nastąpi jeszcze coś lepszego! Podoficer także twierdził, że mnie zna i że jestem Kara ben Nemzi.

— Ale jego przynajmniej zdołał pan przekonać?

— Nie. Zresztą ani mi się śniło. Wpadłem na pomysł nader śmiały, ale który może mi przysporzyć wiele korzyści. Wszak pan wie, iż jestem kupcem skór i futer. Wie pan chyba również, że tuniscy Beduini wytwarzają w olbrzymich ilościach skórę i że wywozi się stąd wielkie ładunki marokinu\* i safianu\*?

— Wiem o tym.

— Doskonale. Cóż więc, jeśli jako handlarz skór wykorzystam podobieństwo do tego Kara ben Nemzi?

---

\* Wytłaczany safian do oprawy książek

\* Cienka, miękka, barwiona skóra kozła lub barania używana do oprawy książek, na obuwiu, obicia mebli itp.

— W jakiż to sposób?

— W sposób najprostszy w świecie. Nie ulega wątpliwości, że przyjaźń z Krüger-bejem, jego polecenie, może ogromnie się przydać kupcowi. Krüger-bej bowiem jest prawą ręką baszy i zdoła wiele zrobić dla przyjaciela. Postanowiłem przeto nawiązać stosunki handlowe z Tunisem i poczynić wielkie zakupy skór. A więc to niespodziane podobieństwo bardzo mi odpowiada.

— Byłby to świetny pomysł — rzekł rzekomy Hunter po namyśle — gdyby nie... gdyby...

— Gdyby nie... O czym pan myśli?

— Gdyby nie było bardzo istotnej wątpliwości.

— Jakiej wątpliwości?

— Przypuszczam, że chce pan zostawić Krüger-beja w przekonaniu, iż jest pan Kara ben Nemzi?

— Tak.

— A przy tym chce pan wykorzystać to dla nawiązania stosunków handlowych przez pana, Mr. Jonesa. Jakże pan to połączy? Wszak nie może pan być Mr. Jonesem i jednocześnie uchodzić za Kara ben Nemzi?

— Tak też nie będzie. Sprzeczność ta da się łatwo pogodzić. Jestem Kara ben Nemzi. Mr. Jones jest moim przyjacielem i powierzył mi przedstawicielstwo swoich interesów. Czy pan mnie rozumie?

— Tak. Istotnie, to jest wyjście. Ale wątpię, czy się panu uda, gdyż nie potrafi pan do końca odgrywać roli Kara ben Nemzi.

— Jestem innego zdania.

— Niesłusznie. Naraża się pan na niebezpieczeństwo, które może pan przypłacić życiem. Jest to nie tylko możliwe, ale i bardzo prawdopodobne, że zostanie pan zdemaskowany.

— O, co się tego tyczy, to bynajmniej nie mam obawy. Podobieństwo, według wszelkiego prawdopodobieństwa, jest tak wielkie, że mogę się na nim spokojnie oprzeć.

— A jednak radzę panu nie zawierzać przypadkowi tak bardzo. Podobieństwo to jeszcze nie wszystko. Jeśli Kara ben Nemzi jest przyjacielem Krüger-beja, to ten niewątpliwie zna nie tylko jego wygląd i zachowanie, ale także jakieś wydarzenia z życia osobistego. Poznali się niegdyś i obcowali ze sobą. Jak to się stało i w jakich okolicznościach, o czym ze sobą rozmawiali i co robili — to wszystko musiałby pan dokładnie wiedzieć, aby się nie zdradzić. Jedno niewłaściwe słówko, jedna chybiona uwaga, drobna nieścisłość, może pana zgubić.

— Wszystko, co mi pan powiedział, jest słuszne i trafne, ale mimo to nie zdoła mnie przerazić. Nie jest tak trudno, jak pan sądzi, odegrać rolę Kara ben Nemzi. Gdy zostałem sam ze starym podoficerem w pokoju, wziąłem go na spytki tak zręcznie, że nawet tego nie spostrzegł. Dowiedziałem się wszystkiego, co trzeba. A gdy przybył Krüger-bej, nie wahałem się już uchodzić za Kara ben Nemzi i wiadomościami uzyskanymi od starego podoficera operowałem tak swobodnie, że dowiedziałem się jeszcze więcej. I oto mogę grać rolę, której się podjąłem.

— W takim razie życzę panu szczęścia! Jednakże niech się pan ma na baczności. Nie chciałbym się znaleźć w pańskiej skórce, gdyby pana odkryli, a właściwie zdemaskowali. Czy korzyść, jaką pan sobie obiecuje, jest aż tak duża, że nie cofa się pan przed ryzykiem?

— Tak. Można zarobić, jak sądzę, setki tysięcy.

— A zatem będzie pan musiał zostać tutaj dłużej i nie wyjedzie ze mną?

— Niestety, będę musiał zrezygnować z pańskiego towarzystwa, albowiem już jutro wyruszam w głąb kraju.

— Jutro? To niezwykle prędko! Czy nie pomyślał pan o niebezpieczeństwach takiej wyprawy?

— Nie. Nie grozi mi niebezpieczeństwo, gdyż jadę pod dostateczną ochroną.

— Mianowicie?

— Sir Emery dotrzyma mi towarzystwa.



— Tak? Naprawdę? — cedził z rozczarowaniem każde słowo. — Byłem pewny, że pojedzie ze mną!

— Tak się, niestety, nie stanie. Skoro tylko dowiedział się o moich zamiarach, natychmiast postanowił ze mną pojechać. Oczywiście, bardzo mnie to cieszy, gdyż jest to człowiek obyty, nader doświadczony i towarzystwo jego może mi przynieść wiele pożytku. Ale nie tylko on ze mną pojedzie. Będzie mi towarzyszył jeszcze ktoś: i Krüger–bej.

— On? Czy naprawdę?

— Tak. I nie sam, lecz także jego podwładni. Widzi pan zatem, że nie ma się czego obawiać.

— Żołnierze? Po co? Dlaczego?

— Aby poskromić Uled Ayarów.

— To dziwne! Sądziłem, że już poskromiono tych Beduinów. Wszak wyruszył przeciwko nim kolorasi Kalaf Ben Urik.

— Wiem. Zbliżyliśmy się wreszcie do celu mojej wizyty. Oczywiście, pytałem o kolorasiego, tak jak mnie pan o to prosił.

— No? Czy wrócił?

— Nie. Spotkało go nieszczęście.

— Naprawdę? — zapytał przerażony.

— Tak, zamiast pokonać Uled Ayarów, został przez nich osaczony. Tylko jeden żołnierz zdołał się przekraść i przybył z wieścią do Tunisu.

— A więc trzeba szybko wysłać posiłki, natychmiast, natychmiast!

Skoczył z miejsca i w podnieceniu kręcił się po pokoju. Nie dziw, wszak ojcu jego groziło największe niebezpieczeństwo.

— Ponieważ Krüger–bej uważa pana za swego przyjaciela — mówił dalej — ma pan na niego wpływ. Czy nie mógłby pan nakłonić go, aby natychmiast pośpieszył z pomocą?

— Pytanie zupełnie zbyteczne, Mr. Hunter. Słyszał pan wszak ode mnie, że Pan Zastępów wyrusza jutro wraz ze swoim wojskiem.

— Przeciwko Uled Ayarom?

— Tak. Skoro tylko posłaniec przywiózł hiobową wieść, poczyniono przygotowania do wymarszu. Krüger–bej wyruszy z trzema szwadronami.

— Trzema? Czy sądzi pan, że to wystarczająco dosyć, aby uratować kolorasiego?

— Tak, jeśli nie zabiją go do tego czasu. Niebezpieczeństwo jest wielkie, odległość zaś wynosi niespełna pięć dni jazdy. Na wysłańca liczę też pięć dni, razem więc dziesięć dni od chwili okrzyku do nadejścia posiłków.

— Dziesięć dni! Ileż to rzeczy może się zdarzyć w ciągu dziesięciu dni!

— Niestety, niestety. Nie mówiąc już o wodzie, kolorasi nie miał tyle prowiantu, aby wraz ze swoim szwadronem „przez dziesięć dni mógł przetrzymać oblężenie.

— Niebiosa! Cóż można uczynić? i Chodził szybko tam i z powrotem, targał się za włosy, wpijał paznokcie w twarz, wydawał niezrozumiałe okrzyki — słowem zachował się jak człowiek, którego ogarnęło ogromne podniecenie. Nie odzywałem się wcale. Jeśli go słusznie osądziłem, musiał po — standwić to, czego się spodziewałem. Z napięciem oczekiwałem dalszego ciągu wydarzeń, przybrawszy obojętny wyraz twarzy. Naraz zatrzymał się przede mną i rzekł:

— A więc pan, a także Emery przyłączacie się do wyprawy?

— Tak. Nawet Ben Asra, Somalijszyk, jedzie z nami.

— Nawet on? Co pan powie, jeśli i ja chciałbym pojechać?

— Pan? Hm!

— Nie mruć pan, tylko poradź! Dlaczego stroi pan miny, które wyraźnie mówią: nie.

— Ponieważ musi pan zostać i czekać na kolorasiego.

— Ach! To mnie nie może teraz obowiązywać. Nikt nie wątpił, że kolorasi odniesie zwycięstwo. Skoro losy potoczyły się inaczej, rzecz zrozumiała, nie muszę się ściśle trzymać jego wskazówek.

Przeszyłem go umyślnie badawczym spojrzeniem. Spostrzegłszy to, rzekł:

— Dziwi się pan, że jestem tak podniecony?

— Przyznaję, że tak. Kolorasi jest panu obcy. Cóż pana właściwie może obchodzić?

— To prawda, ale jestem już takim człowiekiem. Nie zna mnie pan. Przyrzekłem Kalafowi pomoc, a ja dotrzymuję przyrzeczenia. Wówczas szło o wyzwolenie z sytuacji, która go męczyła, ale teraz idzie o życie. Czyż nie jestem tym bardziej zobowiązany, aby pośpieszyć z pomocą? Mam nadzieję, że zaufania mego pan nie zawiedzie?

— Hm, chce pan pomóc kolorasiemu, a sam wymaga pomocy.

— Porzuć pan swoje mruczenie i to wieczne „hm”! Cieszę się teraz bardzo, że wykorzystał pan swoje podobieństwo do Kara ben Nemzi i zwiódł Krüger–beja. Uważa pana za swego przyjaciela i nie odmówi prośbom. Czy zechce pan wstawić się za mną?

— O czym pan myśli? — zapytałem, wielce w duchu uradowany, że połknął mój haczyk.

— Chcę przyłączyć się do wyprawy.

— Hm, wątpię bardzo, czy Krüger–bej na to przystanie. Nie zabiera się na wyprawy wojenne pierwszych lepszych cywilów.

— To jest wykręt, Mr. Jones, tylko wykręt! Powiedz pan krótko i węzłowato, czy chce się pan za mną wstawić, czy nie?

— Dobrze, spróbuję.

— Świetnie! Dziękuję panu. Wymarsz nastąpi jutro?

— Jutro po obiedzie, zaraz po asr.

— A zatem musi mnie pan niezwłocznie zawiadomić o rezultacie rozmowy. Jak i kiedy?

— Jeszcze dziś przez posłańca, którego skieruję nie do pana, lecz do gospodarza. Ale muszę przecież powiedzieć Panu Zastępów, kim pan jest. Pod jakim nazwiskiem i w jakim charakterze zamierza się pan przedstawić?

— Pod własnym. Tak będzie najlepiej. Powiedz pan, że się nazywam Small Hunter, że pochodzę ze Stanów Zjednoczonych i jestem znajomym kolorasiego. A teraz nie traćmy czasu! Jestem przekonany, że postara się pan uzyskać dla mnie pozwolenie, i natychmiast zaczynam się przygotowywać do podróży.

— Nie może pan zabrać kufra.

— Wcale nie myślę taszczyć go ze sobą! Zabiorę tylko najbardziej niezbędne rzeczy i upatrzę sobie w stajni gospodarza dobrego konia. Lecz niech pan już idzie, niech idzie! Gotów pan stracić najlepszy, najcenniejszy czas!

Wypchnął mnie po prostu za drzwi. Wyszedłem, dosiadłem konia i pojechałem do Bardo.

Ten szczywany oszust był przekonany, że trzyma mnie w garści. Zmusił mnie wprost, abym się przyczynił do jego wyjazdu, nie przeczuwając, że do tego właśnie zmierzałem, że tego gorąco pragnąłem.

W Bardo znalazłem Winnetou i Emery’ego w towarzystwie Krüger–beja. Opowiadali sobie przygody i przeżycia, Winnetou jednak musiał milczeć, ponieważ nie władał ani niemieckim, ani arabskim. Wprawdzie obcując ze mną, przyswoił sobie wiele niemieckich słów, lecz nie na tyle, aby brać udział w rozmowie.

Nie było mi trudno uzyskać zezwolenie dla rzekomego Huntera. Krüger–bej żądał jednak, aby Hunter trzymał się z daleka od nas i przyłączył do zwyczajnych żołnierzy.

— Owszem, bardzo mi to odpowiada — rzekłem. — Nie zniósłbym jego bliskiego towarzystwa.

— Dlaczego? — zapytał Pan Zastępów.

— Ponieważ jest niezbyt sympatyczny i nie powinien się dowiedzieć, że towarzyszy nam wódz Apaczów.

— Czy mógłby pan mieć jakieś n tego powodu kłopoty?

— Mam powody. Pozwoli pan, że wyłuszczenie ich odłożę na później.

— Bon! Tak jak się panu upodobać chce. Ale jak będzie zapytywać o Winnetou, to jako kogo chce pan chcieć go uważać? — zapytał po niemiecku.

— Przedstawimy Winnetou jako Somalijczyka, imieniem Ben Asra.

Usunąłem tedy główną trudność Pchnąłem posłańca do Zaghuanu kazałem oznajmić rzekomemu Hunterowi, aby przybył jutro przed południem do wioski Uneka, skąd nastąpi wymarsz.

Spędziliśmy z Panem Zastępów nader miły wieczór, po czym życząc sobie dobrej nocy rozstaliśmy się.

Nazajutrz od rana nie widzieliśmy Krüger-beja, gdyż obowiązki służbowa i zarządzenia pochłonęły go tak całotd wicie, że nie mógł poświęcić nam chwili czasu. Nie zobaczyliśmy goj również przy obiedzie. Wkrótce wyjechaliśmy do Uneki, gdzie Krüger-bej dokonał przeglądu wojska, które miał to wyruszyć po poobiedniej modlitwie!

Wojsko było wyśmienicie wyposażone w szable, dzidy i strzelby. Za moja poradą Pan Zastępów sprowadził kilka wielbłądów, które w pewnych okolicznościach mogły się nam bardzo przydać. Rozumie się, nie zabrakło również wielbłądów do dźwigania bagaży. Poza tym zaopatrzone każde zwierzę w skórzane miechy do wody. Wprawdzie droga biegła na ogół wzdłuż uczęszczanego traktu, ale w głębi lądu czekały nas miejscowości pozbawione wody, gdzie napełnione miechy są niezbędne. Należało się także spodziewać, że będziemy zmuszeni obozować na pustyni.

Krótko przed asr przyjechał rzekomy Hunter. Miał dwa konie, jednego dosiadał, na drugim zaś umieścił żywność dla siebie. Chciał się natychmiast do nas przyłączyć, ale Krüger-bej spostrzegłszy to, rzekł do mnie:

— Powiedz temu człowiekowi, że nie dopuszczam do poufałości pierwszego lepszego, obcego osobnika. Pan Zastępów jako naczelny wódz nie ma zamiaru zadawać się z pospólstwem.

Podjechałem do Amerykanina i powtórzyłem mu bardzo niedwuznaczną uwagę.

— Krüger-bej pozwolił panu towarzyszyć w wyprawie, ale nie życzy sobie widzieć pana przy swoim boku.

Aczkolwiek była to obelga, Hunter przyjął ją z nadspodziewanym spokojem i odpowiedział zadowolony:

— To mi odpowiada, nawet bardzo.

— Tak? Istotnie? Bardzo mnie to cieszy. Obawiałem się, czy nie będzie pan uważał, że nie dosyć go poparłem wobec Krüger-beja.

— O nie! Uzyskał pan to, co trzeba było, więcej nie żądałem. Nie mam wcale zamiaru trzymać się stale w pobliżu Pana Zastępów i wystawiać na jego obserwację. Jestem zadowolony, że tego uniknę. Jak się uformuje pochód?

— W kolumnę marszową. Skoro znajdziemy się na terenie wrogów, zaciągniemy, oczywiście, przednią i tylną straż i roześlemy patrole. Może się pan przyłączyć, do kogo zechce. Ponieważ włada pan dostatecznie arabskim, nietrudno panu będzie — porozumiewać się z żołnierzami.

Gdy zbliżyła się pora asr, Krüger-bej kazał utworzyć koło, ukląkł i zmówił modlitwę. Po czym dosiedliśmy koni i pojechaliśmy.

Opis marszu zająłby zbyt wiele miejsca. Poprzestanę na suchych faktach. Jechaliśmy wzdłuż rzeki Medżerdah do ruin Tastur i dalej, przez Tunkah, Tebursuk i Zauharim. Tu włączyli się Uled Ayuni, niesforniejsi od Uled Ayarów, swych wrogów śmiertelnych. Należało zachować środki ostrożności, albowiem był to już wieczór czwartego dnia i nazajutrz mieliśmy przekroczyć granicę Uled Ayarów. Wysłaliśmy patrole i zaciągnęliśmy strażę. Wraz z Winnetou i Emerym jechałem w przedniej straży.

Droga wypadła przez piaszczystą pustynię. Oczywiście, nie zapomnieliśmy napełnić zawczasu miechów wodą. Emery, badając ostrym spojrzeniem daleką równinę, zapytał:

— Czy znasz ruiny, do których dążymy?

— Znam tylko okolicę.

— Jak daleko do ruin?

— Niespełna czternaście godzin.

— Tylko? Trzeba być ostrożnym. Co to za ludzie ci Uled Ayarzy? Czy my, to znaczy ty, Winnetou i ja, powinniśmy się ich obawiać?

— Nie. Jeden Komańcz lub Siuks jest niebezpieczniejszy niż dziesięciu lub nawet dwudziestu Ayarów.

— W porządku! A jednak trzeba mieć się na baczności. Czy sądzisz, że znajdziemy wrogów przy ruinach?

— Kto może wiedzieć? Jeśli kolorasi musiał się poddać, to już się stamtąd wynieśli, jeśli zaś wytrwał, trzymając go w potrzasku.

— Hm, a żołnierz, który się przedał?

— Myślałem o nim. Jest rzeczą nader ważną, czy wrogowie wiedzą o tym. Jeśli nie wiedzą, nie będą się śpieszyć. W przeciwnym razie, spodziewając się odsieczy, wyślą wywiadowców, przed którymi trzeba się mieć na baczności.

— Ale i oni muszą się strzec.

— Tak sądzisz? W takim razie musielibyśmy również wysłać wywiadowców.

— Ale kogo? Czy ufasz oczom i uszom żołnierzy baszy?

— Nie, zupełnie nie. Nie polegałbym na takich wywiadowcach.

— Więc dobrze, my sami wraz z Winnetou podejmiemy się tej roboty. Apacz nudziłby się bez nas. Tylko z nami może rozmawiać. Musimy Winnetou dostarczyć zajęcia. Pojedzie ze mną na prawo, ty zaś na lewo. Każdy zakreśli półkole, po czym spotkamy się na przodzie kolumny. Zgoda?

— Naturalnie! Nie mogłem jeszcze wypróbować swego konia. Jest to ognisty ogier i zdaje się, bardzo wytrzymały. A zatem naprzód, Emery!

Odłączyliśmy się od wojska. Emery i Winnetou pojechali na południowy zachód, ja zaś na południowy wschód. Byliśmy przekonani, że Uled Ayarzy nie omieszkali wysłać naprzeciw nam swoich wywiadowców. Należało więc ich odkryć, a nawet schwytać.

Mój henneszah (ogier) nie zawiódł nadziei, które w nim pokładałem. Aczkolwiek nie był tak wspaniały, jak znakomity Rih, musiałem jednak przyznać, że spośród koni naszego wojska ustępuje tylko wierzchowcowi Krüger-beja, dosiadającego najlepszego siwka ze stajni tuniskiego baszy.

Pędziłem sam po piaszczystej równinie. Rozglądałem się uważnie dookoła. Wolałbym pierwszy kogoś wypatrzeć i mieć czas na obranie formy spotkania, niż zostać zaskoczony. Minęło pół godziny; przebyłem co najmniej milę. Przejechałem drugą i trzecią i nic nie spostrzegłem. Chciałem już zawrócić na prawo, aby spotkać się z przyjaciółmi, gdy nagle zauważyłem dosyć wiele ruchomych punktów, które na przemian opuszczały się na ziemię i znów podnosiły. Z rodzaju tego ruchu wywnioskowałem, że są to sępy. Gdzie były sępy, tam musiał być i żer. Żer w takim oddaleniu od dróg i traktów karawanowych nie był zjawiskiem zwykłym. Pocwałowałem ku sępom. Z odległości stu czy dwustu długości końskich zdawało mi się, że słyszę głos ludzki. Gdy odległość malała, słyszałem coraz wyraźniej rozpaczliwe okrzyki:

— Meded, meded! Ya Allah, tá al, tá al! Na pomoc, na pomoc! O Bożej przybywaj, przybywaj!

Był to głos kobiety. Teraz wyraźniej zobaczyłem jakby kształt ludzki, oblegany przez sępy. W pobliżu skupiało się inna gromada sępów, chciwie czegoś wypatrująca. Skoro się zbliżyłem,

wzbiły się w powietrze. Odrzuciły również tamte drapieżniki, opuszczając się opodal na ziemię.

Istotnie, było to ludzkie ciało! Widziałem teraz dokładnie. Głos, który dolatywał jak gdyby spod ziemi, zawołał:

— Betidzi, betidzi. Subhan Allah! Przychodzisz, przychodzisz. Niech będzie pochwalony Allah!

Zatrzymałem się w miejscu, skąd dobiegał głos. Z piasku wyglądała głowa. Tak, ludzka głowa! Nie mogłem rozpoznać, czy kobieca czy męska albowiem była tak spuchnięta, że nikt nie odróżniłby poszczególnych rysów, włosy zaś obwiązano niebieską chustką. Niedaleko głowy leżało dziecko w koszulince. Zawarło oczy i zakrzepło w bezruchu. Wyglądało na pięcioletnie. O dziesięć kroków dalej leżało ciało pożerane przez sępy. Było już na poły rozerwane.

Ogarnął mnie dreszcz zgrozy. Zeskoczyłem z konia i nachyliłem się nad głową. Teraz oczy zamknęły się w omdleniu. Dzieckiem i trupem chwilowo nie zająłem się. Zakopana osoba wymagała natychmiastowego ratunku. Gdy przyjrzałem się jej dokładnie, stwierdziłem, iż jest to kobieta.

Czym ją szybko wykopać, skoro nie miałem żadnych narzędzi? Odwołałem się do pomocy dziesięciu własnych palców. Ziemia była mocno ubita, ale im głębiej, tym mniej. Na szczęście spostrzegłem wnet, że nieszczęsną zakopano w postawie siedzącej. Dzięki temu miałem ułatwione zadanie. Szybko odkopałem górną połowę, pozostawało tylko usunąć warstwę piasku, pokrywającą nogi. Wreszcie wyciągnąłem całe ciało.

Biedna kobieta trwała wciąż w omdleniu. Była okryta czymś w rodzaju koszuli, noszonej przez biedne Beduinki. Można było zauważyć, że liczy nie więcej niż dwadzieścia lat. Puls bił, aczkolwiek bardzo słabo. Twarz jej nieco się ożywiła. Dziecko również żyło. Zdjąłem z siodła manierkę z wodą i podałem maństwu do ust nieco ożywczego płynu. Niebawem otworzyło oczy, ale jakie! Gałki były powleczone jak gdyby szarą skórką. Były to oczy ślepego dziecka. Dałem mu znów wody. Piło bardzo chciwie, po czym zamknęło powieki. Było tak wycieńczone, że natychmiast zmorzył je sen.

Sępy ponownie poczęły się zlatywać. Nie ważąc się podejść do mnie, usiadły na trupie i szarpały go. Widok był wyjątkowo odrażający. Wycelowałem ze sztucera i zastrzeliłem kilka drapieżników, zarazem odpędzając wrzeszczącą gromadę.

Wystrzały obudziły kobietę. Otworzyła oczy, usiadła i szybko wzrokiem poszukała dziecka. Wyciągnęła ramiona i przycisnęła maństwo do siebie, wołając:

— Weledi, weledi, ia Allah, ia Allah, weledi! Moje dziecko, moje dziecko... O Allah, moje dziecko!

Popatrzyła trwożnie na boki, zobaczywszy resztki trupa, wydała rozdzierający serce okrzyk. Chciała skoczyć, zerwać się, ale z osłabienia i przerażenia upadła z powrotem na ziemię. Nie widziała mnie, ponieważ stałem z drugiej strony. Ale widocznie zaczęła pomału coś sobie przypominać, gdyż naraz krzyknęła:

— Jeździec... jeździec! Gdzie jest jeździec?!

Zwróciła się ku mnie, zobaczyła i podniosła się na nogi. Zachwiała się wprawdzie, ale podniecenie dodało jej sił. Przyglądała mi się przez chwilę badawczo, po czym zapytała:

— Kim jesteś? Do jakiego plemienia należysz? Czy jesteś wojownikiem Uled Ayunów?

— Nie — odparłem. — Nie lękaj się mnie. Nie należę do żadnego z tutejszych plemion. Jestem cudzoziemcem, przybywam z dalekich stron i nie zostawię cię bez pomocy. Jesteś osłabiona. Siadaj, dam ci wody.

— Tak, daj wody! Wody... wody... — błagała, siadając z powrotem.

Podałem manierkę. Piła chciwie, pełnymi łykami, po czym oddała mi wypróżnioną do dna butelkę. Spojrzenie jej znów zatrzymało się na trupie. Odwróciła się ze zgrozą, zasłoniła twarz dłońmi, zanosząc się od płaczu.

Staralem się ją uspokoić. Nie odpowiadała, pogrążona w nieutulonym bólu. Ponieważ sądziłem, że łyzy jej ulży, umilkłem i skierowałem się w stronę nieżywego. Głowa jego była przedziurawiona, a więc zastrzelono go. Na ziemi nie dostrzegłem żadnych śladów. Zatarł je wiatr. Wywnioskowałem, że morderstwo nie dziś zostało dokonane.

Podczas gdy zbierałem spostrzeżenia, nieszczęsna kobieta uspokoiła się o tego stopnia, że mogła odpowiadać na pytania. Zawróciłem do niej i zagadnąłem:

— Serce twoje jest ciężkie, a dusza obolała. Nie powinienem cię ranić, lecz pozostawić w spokoju, wszelako czas mój nie należy wyłącznie do mnie. Chciałbym zatem wiedzieć, w czym ci mogę pomóc. Czy odpowiesz i na moje pytania?

— Mów — rzekła, podnosząc ku mnie oczy pełne łez.

— Ten nieboszczyk był twoim mężem?

— Nie. Był to starzec, przyjaciel mego męża. Odbył ze mną pielgrzymkę do Nablumah.

— Czy masz na myśli ruiny Nablumah, gdzie leży grobowiec cudotwórcy Marabu?

— Tak. Chcieliśmy się pomodlić u jego grobu. Allah obdarzył mnie ślepym dzieckiem. Miało odzyskać światło oczu po pielgrzymce do grobu Marabu. Starzec, który mi towarzyszył, był ślepy na jedno oko i pragnął także odzyskać wzrok w Nablumah. Mój mąż pozwolił mi pójść razem z nim.

— Ale wasza droga prowadziła przez granicę wojowniczych Uled Ayunów. Do jakiego należysz plemienia?

— Do Uled Ayarów.

— A więc Uled Ayuni są twoimi śmiertelnymi wrogami. Wiem, że zaprzysięgli wam zemstę krwi. Dlatego odważyliście się na zbyt wiele, podejmując samotną pielgrzymkę, bez straży. Ktoś mógł z wami jechać.

— Jesteśmy bardzo ubodzy. Nie mamy nikogo, kto by z nami pojechał, aby chronić w potrzebie.

— Ale twój mąż, twój ojciec mogli cię wszak towarzyszyć!

— Chcieli, ale musieli zostać, gdyż nagle wynikła zwada z żołnierzami baszy. Mój mąż i ojciec uchodziliby odtąd za tchórzów, gdyby pojechali z nami, zamiast stanąć do walki.

— Powinniście byli przeczekać do końca zatargu.

— Nie godziło się czekać. Ślubowaliśmy rozpocząć pielgrzymkę w określonym dniu łom ed dzuma\* i nie mogliśmy złamać ślubu. Wiedzieliśmy o niebezpieczeństwie, grożącym ze strony Uled Ayunów, i dlatego pojechaliśmy na południe okrężną drogą, prowadzącą przez tereny zaprzyjaźnionych Meidżerów.

— Dlaczego nie wróciliście tą samą drogą?

— Mój towarzysz był stary i chory. Wędrownka wycieńczyła go do reszty, sądził więc, że nie przetrzyma okrężnej drogi. Dlatego obraliśmy drogę najkrótszą.

— To wielka nieroztropność. Nieboszczyk był stary, ale nie sędziwy. Słabość nie usprawiedliwia tej nieostrożności. Wszak mógł po drodze zatrzymać się i wypocząć u waszych przyjaciół Meidżerów.

— Twierdziłam to samo, ale odpowiedział, że według Koranu i innych świętych ksiąg pielgrzymi są nietykalni. Podczas pielgrzymki ustaje wszelkie wrogie uczucie.

— Znam prawo pątnicze — rozciąga się jedynie na pielgrzymki do Mekki, Medyny i Jeruzalem, a nie na inne pobożne wędrówki. Wielu wiernych nie stosuje się jednak do tego prawa nawet podczas hadż\*.

— Nie wiedziałam o tym, inaczej wzbraniałaby i a się przed pójściem tą niebezpieczną drogą. On sam miał zapewne też jakieś wątpliwości, gdyż w dzień odpoczywaliśmy, a szliśmy tylko nocą, dopóki nie wyminęliśmy wszystkich obozów i namiotów Uled Ayunów.

— A potem już czuliście się bezpieczni i zarzuciliście środki ostrożności?

---

\* Piątek

\* Pielgrzymka do Mekki, uważana za jeden z pięciu głównych obowiązków prawowiernego muzułmanina

— Tak. Znajdowaliśmy się wprawdzie wciąż na obszarach wrogów, ale nie było już daleko do naszych granic. Dlatego wędrowaliśmy także podczas dnia.

— Nie pomyśleliście, że największe niebezpieczeństwo czai się nad granicą wrogów? W głębi nieprzyjacielskiego kraju jest się nieraz bezpieczniejszym niż na krańcach. Doświadczyłaś tego na sobie samej.

— Tak. Allah skierował nas na złą drogę, albowiem tak przewidywała księga przeznaczeń. Kiedy doszliśmy do tego miejsca, napadli na nas Uled Ayuni. Nożami i włóczniami przebili ciało mego towarzysza, przestrelili mu głowę i zrabowali odzież oraz ten ubogi dobytek, który starzec miał przy sobie. A mnie nakopali w ziemię, abym mogła oczy moje karmić widokiem trupa, dopóki mnie sępy nie pożrą. Gdyby moje dziecko nie było ślepe, zabiliby je niechybnie, bo to chłopiec.

— Kiedy na was napadli?

— Przed dworna dniami.

— Straszne! Co też musiałaś w tym czasie przejść!?

— Tak. Niech Allah przeklnie Ayunów i pogrąży aż na najgłębsze dno piekła! Przecierpiałam męki, których nie potrafię wypowiedzieć, katusze rozpaczy nad własną zgubą, a jeszcze bardziej, o wiele bardziej nad tragedią mego dziecka. Nie mogłam mu pomóc. Leżało przede mną w skwarze słonecznym i w ciemnościach nocy, a nie mogłam go dotknąć ani obronić, albowiem ręce miałam zakopane. A tam opodal leżał starzec, ten dobry, ten czcigodny starzec. Szarpały go sępy... Musiałam na to patrzeć... To było okropne!! Potem sępy zbliżyły się do mnie i do mego dziecka. Nie mogłam się poruszyć, mogłam tylko odstraszać je krzykami. Więc krzyczałam, ile sił, ale ptaki zrozumiały wnet, że jestem bezsilna. Przysuwały się coraz bliżej, stawały się bardziej natrętne i na pewno jeszcze przed wieczorem wbiłyby dzioby i szpony w moją głowę i w moje biedne dziecko...

Przycisnęła je do siebie, zanosząc się znowu płaczem.

— Uspokój się! — prosiłem. — Allah bardzo ciężko cię doświadczył. Ale oto cierpienia twoje skończyły się. Gdyby starzec był twoim krewnym, cierpiałabyś jeszcze bardziej. Zapomnisz wnet o udrękach, które zniosłaś. Twoje dziecko żyje. Wrócisz do domu, nie straciwszy nikogo z bliskich, i będziesz witana z radością i podziwem.

— Masz słuszość, o panie! Ale jakże wrócę do domu? Nie posiadam ani żywności, ani wody, a jestem taka słaba, że chodzić nie mogę.

— Czy zdołasz utrzymać się w siodle, jeśli ci dam konia i będę szedł przy tobie?

— Wątpię, ponieważ będę jeszcze trzymać dziecko na ręku.

— Ja je poniosę.

— Twoja dobroć, panie, jest tak wielka, jak moje przebyte cierpienie. Ale mimo że mnie wyręczysz, poniósłszy dziecko, jestem tak wycieńczona, że nie zdołam się utrzymać w siodle o własnych siłach.

— A zatem nie pozostaje ci nic innego, jak zdać się na mnie. Posadzę cię przed sobą na koniu. Weźmiesz dziecko na ręce, ja zaś będę cię tak mocno trzymać, że nie spadniesz. Zjedz te daktyle, które na szczęście zabrałem w drogę. To cię pokrzepi.

Zjadła chciwie i rzekła:

— Wiesz, o panie, że żaden mężczyzna nie powinien dotknąć cudzej żony, ale ponieważ Allah odebrał mi zdolność chodzenia lub jechania o własnych siłach, więc chyba nie poczyna mi za złe, jeśli otoczysz mnie — swymi ramionami. Mój mąż, pan i władca, też mi na pewno wybaczy.

— Gdzie chcesz go szukać?

— Nie wiem, wyruszył bowiem w bój. Oby Allah zachował go przy życiu! Ale potrafię znaleźć obóz, w którym zostali starcy, kobiety, dzieci, chorzy i słabi. Znajduje się w Dzebel Eszuir, dokąd dotrzemy jutro. Czy chcesz mnie tam odprowadzić? Nasi przyjmą cię z radością.

Jestem wprawdzie uboga, ale nazywam się Elatheh i wszyscy mnie lubią, więc serdecznie powitają mego wybawcę.

— Nawet, jeśli jest waszym wrogiem?

— Wrogiem? Jakże możesz być wrogiem Uled Ayarów, ty, któryś wybawił mnie z najstraszliwszej śmierci?!

— A jednak jestem nim.

— To niemożliwe, powiedziałeś bowiem, że przybywasz z dalekich, bardzo dalekich stron.

— To prawda, ale jestem przyjacielem i towarzyszem tych, których nazywacie swymi wrogami, to znaczy przyjacielem żołnierzy baszy.

— A więc zaprowadzisz mnie do żołnierzy, do wrogów mego plemienia? Czy przypuszczasz, że pójdę?

— Nie tylko przypuszczam, ale jestem pewien. Może wolisz zginąć?

— Prawda. W mojej duszy walczą sprzeczności. Nie wiem, co postanowić.

— Nie możesz postanawiać, gdyż jest rzeczą oczywistą, że pojedziesz ze mną. Jeśli nie pojedziesz dobrowolnie, użyję przymusu.

— Allach la jukaddir! Boże uchowaj! — zawołała przerażona. — Chcesz uciec się do przemocy?

— Tak. Zmuszając, czynię ci dobrze. Jeśli zostaniesz tutaj, będziesz zgubiona. Musisz pójść ze mną, a chociaż mogę tylko wrócić do wojsk baszy, nie powinnaś się przerażać. Nie zamierzam wyrządzić ci żadnej krzywdy. Jeśli cię zmuszę, to tylko dla twego własnego dobra. Nie uważaj mnie za wroga. Kiedy zobaczyłem cię, sterczącą z ziemi, natychmiast pomyślałem, że należysz do Uled Ayarów, zatem do dzisiejszych moich przeciwników. Mimo to wykopałem cię z ziemi. Możesz z tego wnioskować, iż nie jestem niebezpiecznym wrogiem. Przyłączyłem się do walki, być może po to właśnie, aby zapobiegać rozlewowi krwi i aby, o ile to będzie możliwe, spowodować zawarcie pokoju. Przyjrzyj mi się! Czy mam oblicze człowieka, którego należy się lękać?

— Nie — odparła, uśmiechając się. — Twoje oczy spoglądają łagodnie, a oblicze jest dobre i łaskawe. Ciebie się nie boję, ale lękam się bardzo waszych żołnierzy.

— Niesłusznie. Będą wobec ciebie w porządku. Nie wojujemy z kobietami.

— Czy możesz rozkazać, aby się ze mną źle nie obeszli?

— Tak. I będą mnie słuchali.

— A więc jesteś dowódcą?

— Dowódcą i gościem, a to znaczy, jak ci wiadomo, o wiele więcej.

— Ufam twoim słowom, ponieważ wyglądasz na człowieka uczciwego, a nie na oszusta. A ponieważ mi przyrzekasz, więc... Ale, spójrz, zbliżają się jacyś jeźdźcy!

Wskazała kierunek, z którego przybyłem, a do którego byłem teraz zwrócony tyłem. Odwróciłem się i zauważyłem, że byli to Winnetou i Emery.

— Chyba nie są to wrogowie twoi albo moi, o panie? — zapytała zatrwożonym głosem.

— To są moi przyjaciele, którzy mnie szukają, gdyż zbyt długo byłem nieobecny — odpowiedziałem. — Nie powinnaś się lękać. Będą cię tak samo bronić, jak ja. Są też cudzoziemcami. Nie należą do plemienia Ayunów, jeden jest Anglikiem, a drugi wojownikiem z dalekiego Belad el Amerika.

Jeźdźcy zbliżyli się i osadzili wierzchowce na miejscu. Emery zapytał:

— Dlaczego tak długo nie wracałeś? Niepokoił się o ciebie. Nie było cię przeszło dwie godziny, więc odszukaliśmy twój trop i przyjechaliśmy. Oczywiście, znów przygoda?

Opowiedziałem zdarzenie, naturalnie po angielsku, aby i Winnetou mógł zrozumieć. Gdy skończyłem, siedli z koni i Emery dał kobiecie daktylę, a Winnetou kawał mięsa, które usmażone po indiańsku, przechowywał w torbie przy siodle.

Widać było, że kobieta jest ogromnie wygłodniała. Podczas gdy jadła, zauważyłem w oddali na wschodzie biały punkt, który się coraz bardziej powiększał, przybierając jeszcze jedno



zabarwienie. U góry był biały, a u dołu ciemny. Kiedy wskazałem go towarzyszom, Emery rzekł:

— Oddział Beduinów. U dołu ciemne konie, u góry jasne burnusy. Zbliżają się do nas. Co czynić?

Kobieta, obejrawszy się, natychmiast zawołała przestraszona:

— Allach niech nas obroni! Jesteśmy zgubieni, jeśli szybko nie uciekniemy. To Uled Ayuni!

— Może kto inny?

— Ależ nie! Uled Ayuni żyją teraz w niezgodzie z całym światem. Kto w jasny dzień przyjeżdża tak otwarcie ze strony ich obozu, ten jest niewątpliwie Uled Ayunem. Uciekajmy, panie, szybko, szybko! Mówiąc to, poderwała się na nogi.

— Poczekaj chwilę, poczekaj! — rzekłem spokojnie.

— A więc jesteście zgubieni, i ja także! O Allach, Allach, wspomóż nas w tym niebezpieczeństwie!

— Uspokój się. Nic ci złego nie zrobią. Sądzę nawet, że zdołamy Ayunów ukarać za dokonane morderstwo, o ile istotnie są to Uled Ayuni.

— Chcesz zostać? — zapytał Emery.

Zrozumiał zarówno słowa kobiety, jak i moje.

— Bezwzględnie — odpowiedziałem.

— A jeśli to nie Uled Ayuni?

— W takim razie są to Ayarzy, których tym bardziej musimy pojmać.

— Pojmać? Zgoda!

Oblicze jego, zwykle poważne, teraz promieniało z wewnętrznego zadowolenia, gdy podszedł do wierzchowca, aby zdjęć z siodła broń, tę broń, z której zwykł trafiać w głowę każde zwierzę i każdego wroga.

Winnetou również sięgnął po swoją srebrną strzelbę i założył za pas krzywy nóż i tomahawk.

— To będzie zapewne twoja pierwsza w Afryce rozprawa orężna — rzekłem.

— Winnetou nie sądzi, aby doszło do rozprawy — odezwał się. — Przestrach rzuci ich w nasze ręce.

— Naraz kobieta zaczęła wrzeszczeć jeszcze okropniej:

— O litościwy, o łaskawy, o obrońco! To są naprawdę Uled Ayuni, a między nimi sześciu tych, którzy mnie zakopali.

— Nie mylisz się? — zapytałem.

— Nie. Przewodzi im ten z długą, czarną brodą, który jedzie na czele. Co się z nami stanie? O Allach, Allach, Allach!

Ułożyłem ją na ziemi i przemówiłem uspokajająco:

— Włos z głowy nie spadnie tobie, ani twemu dziecku. Nie my powinniśmy się ich lękać, tylko oni nas.

— To niemożliwe, zgoła niemożliwe! Jest ich czternastu, a was tylko trzech.

Nie miałem czasu na uspokajanie przerażonej kobiety, gdyż oddział zbliżył się na niespełna trzysta kroków i zatrzymał się, aby nas obejrzeć. Uled Ayuni przybyli sprawdzić, czy kobieta żyje jeszcze, i napawać się widokiem jej cierpień. Nie porozumiewając się nawet między sobą, ustawiliśmy się tak, jak należało, mianowicie, ja z kobietą pośrodku, Emery o dwadzieścia kroków na prawo, Winnetou o tyleż na lewo. Tworzyliśmy więc linię długości czterdziestu kroków. Konie stały za nami.

Beduini, prócz dwóch, byli uzbrojeni w długie krzemienne strzelby, ci dwaj zaś mieli tylko dzidy.

— Jeśli trzeba będzie strzelać, to celujcie tylko w ręce lub nogi!

— Dobrze, dobrze, jak chcesz — odrzekł Emery.